Wpisano do kontroli periodyków
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź Widzew
Dn. 16.8. 1968

Dziś w numerze: ● Ej, ty Wisło... ● Dlaczego jest potrzebny wodociąg Sulejów – Łódź? ● „Trzy zorze dziewicze" ● Amerykańska antyliteratura ● Ziemia ● Wiersze ● Felietony ● Recenzje

odgłosy

33 (562)
18. VIII. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

KAROL BADZIAK

Ci jasnowłosi mężczyźni w pięknych wozach

Miasto między zdrojami. Oczywiście Międzyzdroje. Gwarnie, ruchliwie, kolorowo, wypoczynkowo. I słono. Knajpa przy knajpie. Jak wykidajło się dobrze zamachnie, podrzuci klienta konkurencji. Pełnia sezonu. Miejscowi gospodarze zabawiają się w autentyczne komórki do wynajęcia. Totalne zagęszczenie. Przebojem sezonu cytrynada. Roznosiciele dorabiają się ponoć na niej majątków. Bliżej mola szklanka kosztuje 6 zł, dalej — 5 zł, jeszcze dalej ile się da i uda. Wokół królowie życia — wczasowicze. I Szwedzi. Kobiety dwa razy młodsze i trzy razy piękniejsze. Mężczyźni – trzy razi bogatsi, dwa razy smuklejsi. Choć podobno najtrudniej wciągnąć brzuch, gdy jest już wciągnięty.

Lud polski i szwedzki wypoczywa wspólnie w pogodzie i spokoju. Jedynie morze jest tutaj niespokojne. I milicja obywatelska. Wśród wczasowej mierzwy grasują bowiem typy spod ciemnej gwiazdy. Zjechali z całej Polski jak na odpust. A poza tym radośnie, bezmyślnie, bezproblemowo i ajenturalnie. Nocne lokale z dansingami, dwadzieścia złotych wstęp, bary, kawiarnie, cukiernie, a szczególnie kioski z piwem i te owocowe, wszystkie ajencyjne.

Ajencja jest bez wątpienia rzeczą słuszną, lecz w swym sezonowym wydaniu ajenci nie zawsze spisują się najlepiej: dewaluując istotę i sens istnienia tej z gruntu rzeczy prawidłowej koncepcji ekonomicznej.

Właścicielka knajpy do kelnerki: — „Płacę i wymagam. Jak ci każę to i nogi będziesz mi myła". Cytat z akt sądowych.

Dyrektorzy gastronomii z wyspy Wolin łagodnym ruchem zagarniają miliony płynące strumieniem od ajentów. Ajenci są bardziej nerwowi. Przyjechali przecież na jeden sezon i mało mają czasu aby się dorobić. Świat trwa tylko trzy miesiące. Dla nich. We wrześniu zwiną nadmorski interes, by zimą rozwinąć go w górach. Ciężki żywot. Służba krnąbrna, kucharki kradną, sprzątaczki kiwają. Jedynie kelnerzy nie żądają od swych szefów nawet pensji. Pracują za symboliczne dwa „brudasy", miesięcznie. I czekają nabożnie na „jeleni", „dzięciołów", a zwłaszcza na „halików" tzn. w przetłumaczeniu z plugawego żargonu na czysty język polski, na przyjazd beztroskich

Dalszy ciąg na str. 4

IRENA DRYLL

Młodzi i młodzi

(REPORTAŻ NAGRODZONY NA KONKURSIE „ODGŁOSÓW")

Już po raz siódmy piszę na kartce z notesu: „Skrzywana 9, Łódzkie Zakłady Radiowe", i wręczam ją kolejnemu kandydatowi na pracownika. Tylu w ciągu godziny „ustrzelił" pan Nawrocki. Przyszliśmy o 7.30, jest 8.30 — wtorek, 11 czerwca 68 r., w Wydziale Zatrudnienia — Łódź, Wólczańska 49, tzw. dzień mężczyzn. Pan Nawrocki — kierownik działu kadr Łódzkich Zakładów Radiowych „kaptował" ludzi, ja — asystowałam. Lało jak z cebra, więc odbywało się to w hallu, nie jak zwyczaj — na podwórzu urzędu. W hallu „wypchanym" tablicami, na których pod nazwą danego zawodu: monter, kierowca, ślusarz itp. wisiało kilka lub kilkanaście kartek z nazwą zakładów potrzebujących tych fachowców. W hallu zawieszonym obwieszczeniami w stylu: „kierowców autobusów... od zaraz... przyjmie... zarobki od 2.300 do 3.200 złotych... W hallu, gdzie z głośnika pod sufitem płynęły zachęty: „Zakłady „Elta", ul. Aleksandrowska... przyjmą... frezerów, tokarzy, ślusarzy... Do działu... na produkcję... zarobek od... do... dojazd tramwajem...". W hallu, do którego co chwila wpadał jakiś zdyszany osobnik z kadr, wykrzykiwał kogo potrzebuje i otoczony wianuszkiem mężczyzn wiódł — już ciszej — pertraktacje.

Ten sposób „na krzyk" nie znajduje uznania u p. Nawrockiego. „My" pracujemy inaczej. „My" atakujemy — a nie odwrotnie. Podchodzimy do studiujących kartki na tablicach i: „czego pan szuka?" — zagaduje od niechcenia p. Nawrocki. „A co pan ma?" — odparowuje zagadnięty. „W zawodzie, czy bez?" — kontynuuje p. Nawrocki nie dając się zbić z pantałyku. „Ślusarz, po przyuczeniu" — wydusza z siebie młody sympatyczny chłopak z rękoma w kieszeni. „Potrzebuję ślusarzy, do narzędziowni i na produkcję" — oświadcza spokojnie Nawrocki. Teraz już rozmowa toczy się wartko. Pytanie — odpowiedź i znów pytanie. Ale nie jakieś tam — szczegółowe, sondujące. Gdzie pracował? Za ile? Na czym? Co umie? Jakie ma papiery? — to Nawrocki. Jaka stawka? Z premią, czy bez? Ile zmian? Czym dojechać? — to kandydat. Jak mowa o stawce — 8 złotych na godzinę plus 30 proc. premii, włącza się drugi, też ślusarz — po ZSZ, też młody, ładniutki, czarna czupryna, niespokojny, może 20 najwyżej 22 lata, elegancki, buciki w szpic, garnitur szary wełniany. Finał — pomyślny. Przyjdą jutro rano. Obaj. Do kadr, do Nawrockiego. Wręczam dwie kartki z adresem.

Idziemy dalej, od grupki do grupki. Ślusarzy — z piętnastu, tokarzy — dwudziestu, frezerów — pięciu, szlifierzy — pięciu, stolarzy, mechanika samochodowego, robotników niewykwalifikowanych do galwanizerni potrzebuję, zwierza mi się p. Nawrocki, obrzucając jednocześnie zebranych uważnym spojrzeniem. Szuka nowych twarzy. Od 18 lat pracuje w kadrach i przychodzi do urzędu po ludzi. Ma tu starych znajomych i wśród pracowników i wśród petentów. Witają się i owszem. Ale on szuka nowych, bo ci permanentni poszukiwacze, co w urzędzie właściwie urzędują, w zakładzie długo miejsca nie zagrzeją. Fachu przeważnie nie mają, a tego co można w ŁZR robić bez fachu, np. pracować w galwanizerni — nie chcą. „Ile pan daje?" — pyta rzeczowo z kolei już dziesiąty zagadnięty. „Do dwóch..." — pada odpowiedź „ale trzy zmiany". „Eeee, trzy zmiany to nie dla mnie" — stwierdza przystojny, zdrowy młodzian, który moment przedtem oświadczył szczerze, że nic nie umie. To może by pan do nas na przyuczenie przyszedł — wtrącam nieśmiało. Na tokarnię, na pół roku, 800 złotych miesięcznie. „Dwadzieścia lat i na przyuczenie za 800 złotych?! Co pani! — wykrzykuje oburzony. Ale fachu się pan nauczy. Tokarze zawsze w cenie — usiłuję się bronić. Wzrusza ramionami i pokazuje mi plecy. Po tej rekuzie nie wyskakuję już z niewczesnymi propozycjami. Notuję grzecznie: jeden chętny do pracy stolarz (młody, krępy, swojski w urodzie, pewno niedawno w mieście. Kilku przed nim o tym fachu odmówiło — jedna zmiana, ale „tylko" dwa tysiące); jeden strażnik (za 1650 zł — 12 godzin służby, 24 wolne); jeden jedyny niewykwalifikowany na te nieszczęsne trzy zmiany do galwanizerni i jeden też bez kwalifikacji do transportu zewnętrznego (ponad 2.000). Na koniec — gratka! Dwudziestoparoletni chłopak, zamszowa kurtka, nieduży, dumny z siebie. „Pięć lat stażu, papiery mistrzowskie, po technikum, ślusarz ogólny, ostatnio w ŁPRI" — mówi krótko o sobie. „Niech pan przyjdzie, niech

Dalszy ciąg na str. 3

PRZED V ZJAZDEM PARTII

Modernizacja przemysłu łódzkiego

REDAKCJA „ODGŁOSÓW" ZWRÓCIŁA SIĘ DO SEKRETARZA KOMITETU ŁÓDZKIEGO PZPR, TOW. MARIANA KULIŃSKIEGO, Z PROSBĄ O ROZMOWĘ NA TEMAT REKONSTRUKCJI PRZEMYSŁU ŁÓDZKIEGO.
PONIŻEJ ZAMIESZCZAMY TEKST ROZMOWY.

RED.: — Jak Towarzysz Sekretarz ocenia dotychczasowe kierunki rekonstrukcji łódzkiego przemysłu?

TOW. M. KULIŃSKI: — W łódzkich zjednoczeniach przemysłowych dokonano bardzo poważnych prac w zakresie rekonstrukcji i modernizacji poszczególnych branż. Wyniki tej pracy i jej ocena znalazły odbicie we wnioskach Egzekutywy Komitetu Łódzkiego PZPR w latach 1967—68, wytyczających główne kierunki rozwoju i struktury łódzkiego przemysłu.

Opracowano projekty planów koniecznych zmian proporcji w przemyśle, biorąc pod uwagę warunki określające strukturę łódzkiego przemysłu. Strukturę tę charakteryzuje dalszy wzrost udziału przemysłu elektromaszynowego i chemicznego w ogólnej wartości produkcji, przy poważnym również wzroście produkcji przemysłu lekkiego, który powinniśmy osiągnąć głównie w wyniku rekonstrukcji i modernizacji. Założenia modernizacji i dalszego perspektywicznego rozwoju łódzkiego przemysłu rozważano bardzo szczegółowo, nieraz w ogniu gorących dyskusji i kontrowersyjnych stanowisk. Niełatwa to była praca. Wokół niektórych kwestii, jak już wspomniałem, toczyły się gorące, i należy to podkreślić — rzeczowe, dyskusje, zarówno w komisji przemysłu Komitetu Łódzkiego partii, jak i podczas obrad Egzekutywy. Równie żywo dyskutowano te problemy w Zjednoczeniach, zakładach pracy, organizacjach partyjnych i KSR.

— Jak Towarzysz Sekretarz ocenia aktualny poziom bazy technicznej łódzkiego przemysłu?

— Nie można mówić ogólnie o bazie technicznej łódzkiego przemysłu. Jest ona zróżnicowana w jego poszczególnych gałęziach i branżach. Inną jest w przemyśle lekkim, inna w przemyśle chemicznym, a jeszcze inna w elektromaszynowym. Stan bazy technicznej w przemyśle lekkim precyzują tezy na V Zjazd partii, w których czytamy między innymi, iż blisko 40 procent maszyn w przędzalniach eksploatowanych jest dłużej niż 20 lat, a w tkalniach — łącznie 61,4 proc. maszyn pracuje ponad 20 lat. Udział krosien automatycznych wynosi tylko 33 proc. ogólnej ilości krosien. Jest to charakterystyka aktualnego stanu w przemyśle lekkim w kraju. W Łodzi, w niektórych branżach, ta niekorzystna sytuacja jeszcze się pogłębia. W przemysłach wełnianym i bawełnianym szereg przedsiębiorstw pracuje w budynkach, których zużycie techniczne sięga 60—70 proc., a średnie zużycie maszyn — 60, a nawet 80 procent.

Obok tego, w przemyśle dziewiarskim, jak na przykład w „OLIMPII", w przemyśle jedwabniczo-galanteryjnym i w zakładach, które modernizowaliśmy w latach 1960—67, posiadamy wiele najnowocześniejszych maszyn.

Ogólnie rzecz biorąc, przestarzały park maszynowy w przemyśle lekkim bardzo utrudnia, a nieraz wręcz uniemożliwia wdrażanie nowych technologii, a szczególnie technologii produkcji, opartej na włóknach chemicznych.

W przemyśle elektromaszynowym 80 proc. załóg pracuje w pomieszczeniach starych technicznie i funkcjonalnie niedostosowanych do potrzeb. Nowoczesną bazę techniczną w tej gałęzi przemysłu posiadamy jedynie w nowo wybudowanych zakładach, jak na przykład w FTiAT „ELTA". Bazę techniczną na najwyższym poziomie otrzymają — będące już w budowie zakłady obuwia gumowego na Teofilowie oraz nowo powstający oddział obrabiarek ZM im. Strzelczyka na Dąbrowie. Dość sprawną bazę techniczną ma przemysł włókien sztucznych, już od kilku lat intensywnie rozbudowywany i modernizowany. Wychodząc na spotkanie potrzebom konsumenta, przemysł ten opracowuje i wdraża do produkcji nowe technologie włókien chemicznych, które nie ustępują standardom światowym. Przewidujemy rozbudowę i modernizację takich zakładów, jak na przykład „ELESTER", „ELAN", Fabryka Zegarów, Zakłady Kserograficzne, które produkują, poszukiwaną na rynkach zagranicznych i na rynku krajowym, precyzyjną aparaturę i przyrządy elektrotechniczne. Zakłady te pracują w trudnych warunkach technicznych, na zacofanym, często mocno już zużytym parku maszynowym.

— Jakie są główne kierunki rekonstrukcji przemysłu łódzkiego w latach 1969—75, z uwzględnieniem wytycznych, zawartych w tezach na V Zjazd partii?

— W świetle tego, co już powiedziałem przedtem, wyraźnie rysują się główne kierunki rekonstrukcji i modernizacji przemysłu łódzkiego w latach 1969—75. Rekonstruować i unowocześniać bazę techniczną tych branż przemysłowych, których produkcja jest jeszcze wciąż niedostateczna pod względem ilości, jakości oraz nowoczesności i różnorodności asortymentów, poszukiwanych na rynku krajowym i rynkach zagranicznych. Rekonstrukcja musi być oparta na możliwościach zaopatrzenia w wodę, w szczególności, jeśli chodzi o przemysł lekki. W jej planach należy również uwzględnić koordynację pomiędzy poszczególnymi branżami oraz wyeliminowanie zbędnej kooperacji. W dążeniu do unowocześnienia bazy technicznej, rekonstrukcja powinna również spowodować maksymalny wzrost wydajności pracy oraz poprawić strukturę zatrudnienia w Łodzi.

Pragnę podkreślić, iż nasze projekty rekonstrukcji łódzkiego przemysłu są całkowicie zbieżne z wytycznymi tez na V Zjazd partii. Świadczą o tym, między innymi, podjęte przez nas decyzje o przeznaczeniu dodatkowych, znacznych środków na rekonstrukcję przemysłu lekkiego jeszcze w tej pięciolatce, to jest w latach 1969—75.

W ogólnonarodowej dyskusji nad tezami na V Zjazd partii bierze także aktywny udział społeczeństwo naszego robotniczego miasta, poruszając wiele spraw dotyczących rozwoju Łodzi, a w tym przecież i rozwoju poszczególnych fabryk, branż i całych przemysłów. Bardzo liczymy na to, że łódzka klasa robotnicza i inteligencja pracująca podniosą w tej dyskusji nowe kwestie, dotychczas niedostrzegane, lub nieocenione, co pomoże nam spojrzeć jeszcze szerzej na przemysłowe problemy fabrycznej Łodzi. Jesteśmy też przekonani, iż wszystkie słuszne propozycje i wnioski, sprecyzowane w toku dyskusji przedzjazdowej, znajdą odbicie w programach modernizacji łódzkiego przemysłu.

— Jakie są założenia w planach rekonstrukcji przemysłu lekkiego?

— Otóż w roku 1975, biorąc za bazę wyjściową rok 1967, przewiduje się około 178-procentowy wzrost wartości produkcji towarowej w cenach zbytu. W branży dziewiarsko-pończoszniczej wzrost ten zakłada się na około 282 proc., zaś w przemyśle bawełnianym tylko na 133 proc. Zakłada się również, iż ów przewidywany 178-procentowy wzrost wartości produkcji towarowej, powinien nastąpić przy zatrudnieniu niższym o około 6 proc., w stosunku do roku 1967. Również w celu zmniejszenia istniejącej dziś w przemyśle włókienniczym ogromnej kooperacji, przewiduje się daleko idącą synchronizację planów produkcyjnych przędzalń, tkalń i wykończalni.

Podałem tu oczywiście zaledwie parę przykładów planowanych założeń.

— A w innych przemysłach łódzkich?

Na przykład realizacja założonych planów rekonstrukcyjnych w przemyśle elektromaszynowym powinna spowodować blisko trzykrotny wzrost produkcji towarowej w latach 1975—80, a blisko dwukrotny w unowocześnionym przemyśle maszyn włókienniczych. Jednakże będzie to możliwe tylko pod warunkiem, iż rekonstrukcja będzie połączona z odtworzeniem zakładów „ELESTER", „ELAN", Fabryka Zegarów, dzięki czemu nastąpi poważny wzrost produkcji przy utrzymaniu tej samej wielkości zatrudnienia. A skoro już jestem przy zatrudnieniu, jeszcze kilka słów na ten temat. Realizacja planów rekonstrukcji łódzkiego przemysłu spowoduje zmianę struktury zatrudnienia. I tak, udział przemysłu lekkiego w ogólnej puli zatrudnienia w Łodzi winien zmniejszyć się z 63,5 proc. w roku 1967 do 52,5 proc. w roku 1975. Natomiast udział przemysłu elektromaszynowego z metalowym i motoryzacyjnym łącznie, zwiększy się z 18 proc. do 21 proc. W przemyśle chemicznym również wzrośnie z 4,8 proc. w roku 1967 do 5,8 proc. w roku 1975.

— Czy kierunki i środki na modernizację są już ostatecznie przyjęte i zatwierdzone?

— Opinie na temat koncepcji modernizacji łódzkiego przemysłu są w zasadzie pozytywne. Będą one jeszcze raz dyskutowane w Komisji Planowania przy Radzie Ministrów oraz w poszczególnych resortach. Łódzki przemysł jest wprawdzie ważką częścią przemysłu ogólnonarodowego, niemniej jego problemy muszą być rozpatrywane w kontekście przemysłu całego kraju. Uważamy, iż nakreślone kierunki dalszego rozwoju i modernizacji przemysłu w Łodzi są słuszne i zyskają pełną aprobatę najwyższych władz partyjnych i rządowych.

— Jaki wpływ na unowocześnienie produkcji będzie miała, założona na lata 1969—75, rekonstrukcja przemysłu łódzkiego?

— Jej realizacja wpłynie w poważnym stopniu na unowocześnienie produkcji, zarówno w przemyśle lekkim, jak i w elektromaszynowym. Nowa baza techniczno-maszynowa pozwoli na ulepszenie technologii i prawidłowy przerób włókien chemicznych, do czego nie jest przystosowany stary park maszynowy, budowany w latach, gdy włókna chemiczne, a w szczególności syntetyczne, były w powijakach. Wskazują na to tezy na V Zjazd partii.

Zainstalowanie nowoczesnych maszyn w wykończalniach pozwoli na produkowanie tkanin niemnących, wodoodpornych i niekurczliwych, dostosowanych do wyższych potrzeb użytkowych i estetycznych. Dla przykładu, w przemyśle dziewiarskim stanie się możliwe zwiększenie produkcji takich asortymentów, wytwarzanych techniką dziewiarską, jak suknie, garsonki, płaszcze i wiele wyrobów bieliźniarskich, konfekcjonowanych dotychczas z tkanin. W przemyśle bawełnianym na przykład, w latach 1970—75, trzykrotnie wzrośnie udział tkanin niemnących, a przede wszystkim produkcja tkanin bawełnianych z domieszką włókien syntetycznych, jak elana, torlen.

W przemyśle elektromaszynowym, realizacja założeń inwestycyjnych pozwoli na znaczne zwiększenie eksportu poszukiwanych maszyn i aparatury, jak również na pokrycie potrzeb rynku wewnętrznego. Jest to możliwe w warunkach zastosowania nowoczesnej produkcji, wysokiej jakości wyrobów, przy znacznym zautomatyzowaniu procesów produkcyjnych.

— W jakim stopniu zamierzona rekonstrukcja przemysłu łódzkiego wpłynie na dalszy rozwój eksportu?

— Spowoduje ona znaczny rozwój eksportu i może wpłynąć na wzrost jego opłacalności. Jeśli, na przykład, w roku 1967 udział eksportu, w ogólnej produkcji przemysłowej w Łodzi, wynosił 13,4 proc., to w roku 1975 udział ten wzrośnie do 18 proc. W związku z przewidywaną zmianą ogólnej struktury łódzkiego przemysłu, powinna również ulec zmianie struktura eksportu. Na przykład, udział przemysłu maszynowego w eksporcie, który wynosi 34 proc., wzrośnie w roku 1975 do około 45 proc. W przemyśle lekkim udział ten może poważnie wzrosnąć w zakresie odzieży i dziewiarstwa — przewiduje się około 54 proc. — przy jednoczesnym ograniczeniu eksportu metrażu.

Ogólnie mówiąc, unowocześnienie bazy technicznej łódzkiego przemysłu wpłynie decydująco na polepszenie zaopatrzenia ludności w wyroby przemysłowe wysokiej klasy, wzbogaci asortymenty, zwiększy nasze szanse w konkurencji na rynkach zagranicznych, a obok tego, co jest niezmiernie ważne — poprawi warunki pracy pracowitym łódzkim robotnikom.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Kulturalny rok 1969

Życie kulturalne miasta dzieli się raczej na sezony niż na lata kalendarzowe, mimo to jednak właśnie rok kalendarzowy wyznacza plany i ich realizację, z nim związane są wszelkie zamierzenia, szczególnie inwestycyjne. Dlatego właśnie na przełomie roku, gdy w sezonie panują tzw. ogórki, dobiega końca opracowanie planów określających kierunek dalszego rozwoju życia kulturalnego poprzez rozwijanie i umacnianie pewnych ogniw.
O tym, co dziać się będzie w życiu kulturalnym Łodzi 1969 r. rozmawiamy z kierownikiem Wydziału Kultury Rady Narodowej mgr RYSZARDEM STEFAŃCZYKIEM.

— Wprawdzie mówi się, że po oddaniu Teatru Wielkiego żadna nowa inwestycja nie może już łodzianom zaimponować, ale sądzę, że po zaczerpnięciu oddechu, miasto da swym mieszkańcom niejeden piękny obiekt kulturalny?

— Skoro zaczęliśmy od Teatru Wielkiego, to właśnie w tej chwili trwają prace przy instalowaniu 240-obwodowej nastawni świateł regulowanych, która znacznie wzbogaci możliwości operowania światłem na scenie. Dlatego w tym roku teatr ma aż dwumiesięczną przerwę wakacyjną. Nowa nastawnia zacznie funkcjonować na jesieni. A dalej trzeba będzie pomyśleć o powiększeniu powierzchni na magazynowanie dekoracji. Do tego chcemy wykorzystać domek sąsiadujący z Teatrem Wielkim.

I jeśli jesteśmy już przy teatrach, to pod koniec 1969 r. Łódź otrzyma właściwie nowy, całkowicie nowoczesny, jakim stanie się, Teatr im. Jaracza, po gruntownej przebudowie. Wprawdzie przedsiębiorcy obiecują oddanie obiektu w połowie przyszłego roku, ja jednak wolę być na wszelki wypadek ostrożny.

Również w przyszłym roku zakończymy budowę zaplecza Teatru Muzycznego. Dla publiczności nie przyniesie to żadnej widocznej zmiany, ale oddanie pomieszczeń na magazyny dekoracji, warsztaty i dla administracji przyniesie znaczną poprawę warunków pracy teatru.

— Czy przyszły rok przyniesie rozpoczęcie budowy dwóch nowych gmachów szkolnych: Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i Szkoły Muzycznej?

— Gmach dla WSSP jest inwestycją centralną, a nie miejską, więc w tej sprawie nie będę zabierał głosu. Natomiast budowa nowego gmachu dla Szkoły Podstawowej i Liceum Muzycznego im. Wieniawskiego będzie największą inwestycją miasta, którą chcemy rozpocząć w 1969 roku. Ostatecznie zlokalizowano ją przy ul. Szczucińskiej, na zapleczu ul. Milionowej. Koszty budowy wyniosą dwadzieścia parę milionów złotych, będzie to pierwszy tego rzędu gmach szkolny w Łodzi. Budowa potrwa około trzech lat. W naszych planach przewidzieliśmy rozpoczęcie robót na styczeń 1969 r., na razie jednak termin ten przesuwa się z winy Miastoprojektu, który dotychczas nie przedstawił kompletnego projektu wstępnego.

— A jeśli chodzi o przybytki najpopularniejszej muzy — kina? W związku z przebudową śródmieścia grozi nam przecież utrata „Adrii" i „Młodej Gwardii".

— Mamy opracowaną dokumentację na budowę trzech nowych kin, ale z braku środków, na przyszły rok, nie weszły one do planów. Na razie liczymy na to, że spółdzielczość wreszcie odda łodzianom kino w dawnym gmachu Operetki przy ul. Piotrkowskiej. Przygotowujemy się do wieloletnich remontów kin istniejących, między innymi „Polonii", „Wisły" i „Pokoju". Zamierzamy też unowocześniać aparaturę i sprzęt kinowy. M. in. w niedługim czasie zakupimy aparaturę do wyświetlania taśmy 70-milimetrowej, prawdopodobnie dla „Włókniarza".

— Czy plany na przyszły rok przewidują poprawę w dziedzinie bibliotekarstwa?

— Tu zajdą spore zmiany na korzyść. W przyszłym roku oddamy miastu siedem nowych bibliotek: na Zarzewie, Dąbrowie, Teofilowie, Podgórnej, Wielkopolskiej, Gwiazdowej, 10 Lutego. Powstaną one w nowym budownictwie. Poza tym Łódź otrzyma jeszcze trzy biblioteki w lokalach starych, zaadaptowanych. Jedna z nich będzie otwarta w zabytkowym dworku modrzewiowym na Chojnach, którego remont dobiega końca. Sądzę, że część dworku mogłaby być wykorzystana na stworzenie stałych sal ekspozycyjnych, poświęconych na przykład publikacjom o Łodzi. Dzięki oddaniu tych 10 bibliotek, osiągniemy normę krajową dla wielkich miast, która przewiduje 1 bibliotekę na 10 tysięcy mieszkańców. Obecnie mamy w Łodzi 76 bibliotek, a więc poniżej normy.

I — żeby zakończyć z obiektami, które zostaną oddane w przyszłym roku — trwa obecnie adaptacja pomieszczeń w piwnicach przy Piotrkowskiej 86, gdzie Klub Międzynarodowej Prasy i Książki miał magazyny książek. Związek Plastyków, który jest obecnie gospodarzem tego lokalu, urządza w piwnicach środowiskowy klub — kawiarnię. Niebawem chyba zakończy się przebudowa lokalu Klubu Związków Twórczych, przy al. Kościuszki, gdzie od przyszłego roku chcemy zacząć szerszą działalność twórczą.

— Sądzę, że przyszły rok będzie nie tylko rokiem oddawania nowych obiektów, ale również krystalizowania się pewnych koncepcji mających dalsze perspektywy realizacji? Co na przykład z budową Galerii Sztuki? Podobno zapadła decyzja o jej budowie?

— To prawda. Chcemy, by w 1969 roku została opracowana przynajmniej lokalizacja. Ale przedtem trzeba skonkretyzować założenia Galerii, ustalić ostatecznie jakim celom ma służyć, jakie spełniać zadania w naszym mieście. Takich prac koncepcyjnych będzie więcej. Na przykład w dziedzinie muzealnictwa. Cztery łódzkie muzea domagają się zwiększenia powierzchni musimy dalej remontować Muzeum Włókiennictwa. Muzea muszą przedstawić nam swoje koncepcje, trzeba dokonać koordynacji ich działalności, a potem przystąpić do rozbudowy.

— Czy kulturalny rok 1969 będzie miał jakieś ogólne hasło wywoławcze, jakąś klamrę tematyczną, łączącą wszystkie zamierzenia?

— Przecież to będzie rok 25-lecia Polski Ludowej. Pod tym hasłem odbywać się będzie wiele imprez, pod tym kątem ustawiony będzie np. repertuar teatralny, gdzie przeważy dramaturgia polska od klasycznej po współczesną: Potocki, Norwid, Wyspiański, Żeromski, Kruczkowski, Witkacy, Bryll — to tylko niektóre nazwiska, które znajdą się na afiszach teatralnych.

Myślę, że ten rok będzie właściwą porą na bilans, podsumowanie nie tylko w sensie referatowo-sprawozdawczym, ale przede wszystkim poprzez publiczne poczynania, ukazywanie naszego dotychczasowego niemałego dorobku. Będzie to czas na uświadomienie sobie na jakim etapie rozwoju naszej kultury jesteśmy i co mamy robić dalej.

Rozmawiała:
JOANNA GONTER

Młodzi i młodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

pan koniecznie przyjdzie jutro, na miejscu obgadamy" — zachęca Nawrocki, tym razem faktycznie poruszony (i ślusarz! i technik! i mistr !). I podaje rękę na pożegnanie. Mistrz w zamszowej kurtce odchodzi godnym krokiem nie obiecując na 100 procent. — „Zobaczymy, może przyjdę". A to „może" znaczy: tu ja dyktuję warunki, ja — fachowiec.

Faktycznie, na tle reszty hallu — 50—60 mężczyzn, z których wielu woli o pracy porozmawiać niż pracować, niewielu jest z fachem, a pozostali szukają prac prostych, najchętniej w magazynie (!) bądź w transporcie, on — Mistrz, może mieć wzmożone samopoczucie.

Po godzinie — kończymy. Więcej chętnych nie ma. Werbunek „twarzą w twarz" — poprzez kadrowca, mam za sobą. Idę podpatrzeć inny sposób — „werbunek pośredni". Pokój obok hallu, przyjęcia pracowników fizycznych. Trzy biurka, dwie panie, kilku „poszukiwaczy", kilku poszukujących. „Na ogół teraz mężczyźni się sami zatrudniają. Wybierają oferty z tablic i ja tylko daję skierowanie" — wyjaśnia jedna z urzędniczek. „Chyba, że nic im nie pasuje, to tu przychodzą". A młodzi? Jak z młodymi — pytam. Różnie. Przeważnie jednak ci co tu trafiają nie wyróżniają się specjalnie korzystnie od starszych. Ani fachowością, ani żądzą fachu. Wczoraj rano na przykład przyszedł taki sympatyczny młody chłopak, porządnie ubrany, czysty, grzeczny. Aż miło popatrzeć. I do tego 9 klas skończone. Wybrał z tablicy pracę przy załadunku. Ciężką przecież, tyle że 1.900 złotych. Mówię: a może by pan gdzieś na przyuczenie, do Elty, Elanu, Elesteru...? Szkoda pana na taką robotę! Spojrzał na mnie z góry i mówi: „Niech mi pani nie rządzi. Ja sobie wybrałem i tam chcę pracować". Ano, mówi się trudno.

Jakby na potwierdzenie tego, w ciągu pół godziny obejrzałam i wysłuchałam dwu równie z wyglądu sympatycznych i eleganckich — granatowe garnitury, modne za kostkę kamasze, długie, ale nie za długie włosy, 18- i 20-latków, którzy obaj uparcie chcieli „do załadunku" (1.700—2,000 zł). Jednocześnie przez drugie drzwi wchodzili kadrowcy. Na skargę. „Przyszłam do was narzekać, kochane. Ja nie mam ludzi. Kierowców, montera samochodowego, omiataczy, ładowaczy... Rano byłam — już nawet z przewodniczącym rady zakładowej. I nic. A jak się odzywają do nas! Jak byśmy po łaskę tu przyszli!" — narzeka jedna z poszukujących do pracy. No, do nas się dobrze odzywali. Pan Nawrocki ma widać mir. I wygląd jaki potrzeba, i sposób mówienia. Nawet głos pasuje do typu „swój chłop". Zna się na rzeczy, budzi zaufanie, wie czego chce, nie obiecuje bez pokrycia i nic go nie zadziwi. Miałam szczęście...

Miałam szczęście i dlatego, że piętro wyżej udało mi się popatrzeć na jeszcze jeden sposób „werbunku" — tym razem — „przymusowego". Na pracę komisji z dzielnicy Śródmieście, zajmującej się (już od dwóch lat, obecnie dwa razy w tygodniu) tymi, co to „nie mają, nie orzą... a żyją".

— „Z czego, z czego pan żyje?" — pyta porucznik Wachowski kolejnego delikwenta. „Kiedy pan wreszcie zacznie pracować?" — „Nooo, kiedy będę chciał..." — odpowiada szczerze „zaprawiony" (piwkiem, prawdopodobnie piwkiem — dorzuca dzielnicowy, również członek komisji) rozmówca. „Nie ma co dziś się z nim męczyć" — ocenia trzeźwo sytuację pani z Wydziału Zatrudnienia, biorąca udział w komisji. I por. Wachowski pisze w notesie: „Ob. G.: wezwać i przeprowadzić rozmowę na okoliczność, gdzie i co robi". Następny — młody (27 lat), mały, blondynek o twarzy skrzywdzonego krasnoludka, wpada w pośpiechu, bo właśnie dziś, zaraz, już ma załatwić pracę ślusarza u „Barlickiego". Cała komisja (i MO, i Wydział, i kolegium, a przeważnie bywa także prokurator, sędzia, przedstawiciel KD partii i wydziału spraw wewnętrznych) oddycha z ulgą. Nareszcie! Idzie do pracy! A od lutego się obijał. Karany za chuligaństwo, za picie wódki w pracy, za rozróbki. „Tylko żebyście tam nie zaczęli od picia" — przestrzega groźnie MO. „Ja przedtem też nie chciałem pić. To oni mnie zmuszali i się piło dzień w dzień, bo to było w „Monopolu" — rzuca na odchodnym ślusarz in spe i już go nie ma.

Następny, podstarzały młodzian, łysy, oczki, jak u myszki latają niespokojnie. „Chcę pracować — ale gdzie pójdę, wołają opinii, a skąd niby ja wezmę?" „Pięć miesięcy w więzieniu, 8 miesięcy bez pracy, opiekun „panienek", rozwiedziony — informuje dzielnicowy. — „Gdzie pan mieszka?" — pada pytanie. „Na Składowej"... „To pana mieszkanie?" — Mojej kochanki. „Ona pracuje?" — Nie, siedzi w więzieniu. „Jak pan nie będzie pracował, to będziemy pana ścigać" — oświadcza twardo komisja. Ja chcę pracować, to oni mnie nie chcą — broni się łysy delikwent. Skierujemy pana na wózkarza do „Harnama" — pada decyzja. Machnięcie ręką. — „Byłem tam, byłem. Kadrowa taka blondynka. Ona woła opinii". Jak faktycznie nie zechcą pana, to pan tu przyjdzie i pomożemy.

Po takim co „czuje chroniczny wstręt do pracy' — jak mówi, i takim co „nie lubi na budnik wstawać", wchodzi 24-letnia blondynka, ani ładna ani brzydka, na widok której panią z Wydziału opuszczają nerwy. W ciągu kilkunastu miesięcy proponowano jej pracę 24 razy. W kilku miejscach jej nie przyjęli. W pozostałych albo praca jej nie odpowiadała, albo — z jednym wyjątkiem — gdzie pracowała dłużej, zagrzała miejsce jedynie przez parę dni. Sytuacja rodzinna: ojciec na rencie, matka zarabia 1.200 złotych. Po ożywionej dyskusji („Z czego pani żyje?" — „Z kurewstwa, ani łajdactwa nie żyję! Nie siedziałam nigdzie i nie byłam karana!") — pada ostatnie pytanie: „No i jak, będzie pani pracowała?" Jeśli dacie coś odpowiedniego... Na jedną zmianę i żebym mogła chodzić do szkoły.

Od sierpnia 1966 r. komisja skierowała 1868 osób do pracy. Większość z nich to młodzi do 27 lat. Ilu z tego faktycznie pracuje? Trudno ustalić. Wielu wraca tu po parę razy. Ale są podobno i tacy co pracują naprawdę. Najoporniejszych (— a po dwu latach istnienia tych komisji działających osobno dla każdej dzielnicy, tacy właśnie zostali) nieomal się doprowadza. Tym, których miałam okazję oglądać, funkcjonariusze MO z samego rana dość kategorycznie przypomnieli o wezwaniu na komisję. A mnie — na tle pracy wydziału i komisji, przypomniało się coś zupełnie innego. „Pamiętniki bezrobotnych..."

Na 31. V. 1968 r. w Wydziale Zatrudnienia w Łodzi — informuje pani Corallini, 91 osób było zarejestrowanych jako poszukujący pracy, w tym 57 kobiet. Wolnych miejsc było natomiast 3.446. Z tego dla pracowników umysłowych — głównie inżynieryjno-technicznych 740 (w tym 410 dla kobiet), dla młodocianych 406, dla robotników wykwalifikowanych 1.184 (w tym dla kobiet 262), dla niewykwalifikowanych — 1116 (dla kobiet 562). Trzydzieści lat temu, według szacunku Instytutu Spraw Społecznych, 456 tys. ludzi w Polsce zarejestrowało się jako bezrobotni. Na poczatku lat trzydziestych — zarejestrowanych 313 tysięcy, ogółem 655 tysięcy bezrobotnych, z tego poważna część w Łodzi. Już w r. 1929 na 100 wolnych miejsc — przypadało w Łodzi od 3.000 do 8.000 poszukujących pracy. W 1933 r. w I kw. bezrobotnych było ponok. 80 tys. włókniarzy.

Być może, że jest to najprymitywniejsze skojarzenie. Ale ilekroć wchodzę do Wydziału Zatrudnienia, na tę grupę poszukujących (?) pracy mężczyzn, a może raczej oceniających czy warto taką, jaką oferują pracę podjąć, patrzę przez pryzmat wspomnianych już „Pamiętników". Nie mogę napisać tak jak w grudniu 1931 roku — pisał autor „Pamiętnika nr 17", 19-letni malarz zamieszkały w Łodzi: **„Poznaję szukających pracy. Specjalny chód, marsz bez celu, tułacze wypatrywanie. Wcześnie idą do wylepionych gazet. Pożerają oczyma szpalty wydrukowane petitem. Wchłaniają adresy w mózg, w krew i biegną. Biegną byle pierwsi. Muszą biec. Tu idzie o niejedną egzystencję..."**

Dziś poszukujących pracy trudno poznać — nie są obdarci, nie są wychudzeni, nie są głodni, są tacy jak my. Tym bardziej nie potrafię się od wizji tamtych uwolnić...

„My, ludzie bez pracy, to pariasi, wiecznie nienasyceni, niezadowoleni, zawsze głodni, ob darci, lękliwi, bezradni. Żebrzący o pracę, jesteśmy wyrzucani bez apelacji za bramy fabryk, jak bezpańskie psy. My, wydziedziczeni — niepotrzebni... Wiem co mnie czeka. Beznadziejne wyczekiwanie na pracę. Czeka mnie nędza. A ja tak pragnę pracować. Niestety, co dzień, co tydzień ta nadzieja znika... Jedna myśl krąży mi po głowie. Umrzeć... Bo nie mam już sił do dalszej walki o życie... Od próśb i mielenia „jęzorem w gębie" na temat: dajcież mi pracę, dajcież mi pomoc — odchodzę wprost od zmysłów". (Tokarz, lat 29, niedoszły samobójca, Łódź, 28. XII. 1931 r. „Pamiętnik nr 18").

Tamtych, którzy pisali: **„Mam lat 21, a już jestem starcem, który jeszcze nie zdążył przejść wieku młodzieńczości i nie zdążył jeszcze osiwieć, ale który zdążył już doznać okropności życia człowieka pozbawionego środków do życia... Tak dalej być nie może! Klnę sam do siebie. Przecież jestem człowiekiem jeszcze młodym. To niemożliwe abym już nigdy, przenigdy nie dostał pracy!... Cały rok 1929 szukam pracy... Cały rok 1929 szukałem pracy, chodziłem z ojcem do znajomych... Zabiegi ze znajomymi pozostały bez skutku, obiecywano, a potem skarżono się na „ciężkie czasy"... Dajcież nam pracę, dajcież nam żyć! (Robotnik włókienniczy, Łódź, 30. XII. 1931 r. „Pamiętnik nr 21").**

Tamtych, którzy pisali: **„Przy pomocy protekcji przyjęto mnie do pracy... Oglądam szczegółowo krosno i przychodzę do wniosku, że wszystko od biedy ujdzie, tylko czółenka są niemożliwie zdarte, pokaleczone, poobrzynane na okrągło. Idę do samego właściciela po nowe, a on odpowiada — „gdy pan chce nowe, może je pan kupić"... Zostałem. Ten złoty czy dwa, które zarobiłem na dzień, niemal wydałem na parafinę, którą smarowałem osnowę, by lepiej poszła. W ten sposób przez kilkanaście tygodni łudziłem się nadzieją, pracowałem, a za zapracowane pieniądze kupowałem parafinę. W końcu nie mogąc się doczekać poprawy rzuciłem pracę..."**

Raz dwa dni pod Łodzią utykałem i okrągłe dwa dni nic nie jadłem, mimo usilnych starań, by coś zdobyć. A trzeba zrozumieć, że prócz tej głodówki byliśmy już wycieńczeni do ostatnich granic... Chciałem rzygać i nie mogłem, bo cóż miałem wyrzygać, chyba żołądek, który dla mnie nie był niczym więcej, jak żywiołowym ogniem w skrętach, a brzuch stekiem niespokojnych węży. A ja ten oryginalny bagaż węży i ognia... niosłem z iście prometejską pogardą w duszy do Łodzi, do tej Łodzi, która jest tak ogołocona, że nawet pomyj w rynsztokach podmiejskich nie ma, a co pamiętam za dobrych czasów jeziorem stały na pół ulicy i chodnikach przez całe miesiące" (Tkacz, lat 27, 9. I. 1932 r. „Pamiętnik nr 23").

Tamtych, którzy pisali: **„Jutro znów będzie dzień, w którym znajdę pracę. Codziennie chwytam się tej myśli jak zbawczej deski ratunku. Czasami zdaje mi się, że to ostatni łącznik z życiem. Dziwna wiara w jutro, które jak radosną nowinę przyniesie mi — pracę. Chcę pracować. Jest to jedyne co posiadam i tak nieodparcie jedyne, że aż śmieszne, gdy o tym pomyślę... Praca jest mi potrzebna nierównie więcej od powietrza, którym oddycham. Nie mogę tak stać i czekać, aż mi dadzą. To mnie wykrzywia, odbarwia, niszczy... Staję się czymś zbytecznym we własnej rodzinie. Mam lat 19 i jasno określam swoją rolę darmozjada. Zgłaszałem się do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy, lecz i to na próżno, wskazywano mi na długą listę poszukujących pracy od trzech lat... Muszę znaleźć pracę"...**

I wreszcie: **„W bramie wielkiego domu na głównej ulicy miasta wisi kartka z następującym napisem: „Potrzebny pomocnik dozorcy". ...Zamiatam szeroki trotuar. Mam twarz jasną i zdaje się, że pogodną. Znikło naprężenie, niepokój. Jest jakby we mnie wielka cisza i wielki spokój. Na ulicy szum, gwar, hałas, ale ja nic nie słyszę, nic mnie nie razi, nic nie męczy. Zamiatam ulicę ruchem żniwiarza..."**

Ten ostatni fragment pisany przez młodego malarza z Łodzi w grudniu 1931 roku, to fragment pamiętnika kogoś dziś w tym mieście dobrze znanego — Wiktora Pietruszki, obecnego dyrektora Miejskiego Urzędu Statystycznego. Jego życiorys jest pasjonującą opowieścią o człowieku, który w instytucji, gdzie jest obecnie dyrektorem zaczynał pracę od gońca i to dzięki... protekcji. Jest opowieścią o człowieku, z tej protekcji do stanowiska gońca, umiejącego skorzystać. „Wybił się" dzięki własnym zdolnościom, ambicji i łączeniu pracy z nauką. „Gdzie i czego ja już nie studiowałem"... A ileż to sił i mocnej woli potrzeba, by uczyć się i pracować!

I znów — na tych młodych spod Wydziału Zatrudnienia, którym konkretny fach pcha się w ręce i to okraszony 800—900 złotymi, można by spojrzeć przez pryzmat tamtych. Tamtych, którzy za naukę płacili, a nie im płacono. (Np. Leona Zarzyckiego, łódzkiego tkacza, który zapisał się — w roku 1922 do wieczorowego gimnazjum dla pracujących „Matura" (przy ul. Zielonej), gdzie opłata za naukę wynosiła wówczas około 40 proc., zarobków tkacza. „Pracę rozpoczynał o godzinie 7, a kończył o 16. W przerwie obiadowej między godz. 12, a 13 zjadał posiłek, który w „żelaźniaku" przynosiła mu siostra. Z pracy szedł prosto do szkoły, w której lekcje trwały do godz. 22—23. Do domu, odległego o około 5 kilometrów wracał około 24 i jak twierdzi, tak się w końcu wytrenował, że szedł śpiąc: „dopiero na rogu Pabianickiej i Wólczańskiej przychodziła świadomość, przytomniałem, całej drogi nigdy nie pamiętałem". W domu zjadał naprędce jakiś posiłek i szedł do mieszkającego w pobliżu kolegi, aby odrobić u niego lekcje (u siebie nie miał warunków, ciasne mieszkanie na strychu). Wracał do domu i udawał się na spoczynek około 2—3 rano. O 5.30 musiał wstawać, aby zdążyć do pracy. Jednym dokumentem stwierdzającym uczęszczanie do „Matury" jest ręcznie napisane przez kierownika tych kursów zaświadczenie. „Matura" praw państwowych nie miała... Kiedy w roku 1926 stanął przed komisją poborową, z powodu ogólnego wyczerpania został zwolniony ze służby wojskowej, gdyż — jak mówi — „ważyłem zaledwie 45 kg i miałem ostrą anemię". „Pamiętniki po latach" — tom II.

Ale można też spojrzeć przez pryzmat tych, którzy dziś się uczą i pracują. Np. w fabryce.

Kiedy przyszłam do „Majedu" (Łódzka Fabryka Maszyn Jedwabniczych), aby właśnie takich wyszukać i się z nimi umówić, i Woźniak (Tadeusz), i Urbaniak (Stanisław) odeszli wprost od maszyny. Byli poza łokcie upaprani czarnym, tłustym smarem. Pół żartem, pół serio Urbaniak powiedział: „Widzi pani, po to się uczymy, żeby tak nie wyglądać". Też mi cel! Jak na serio tak myślą... Ale nie myśleli... Kiedy wieczorem — rozmawialiśmy około 21, bo przyszli do mnie tuż po zajęciach w technikum, zapytałam: dlaczego się uczą, przecież to męka (a obaj mizerni, szczupli, wyraźnie zmęczeni). Urbaniak łypnął spode łba (jasnego, włosy na jeża) i mówi: „Ktoś może coś mieć" — a my nie?!" I to wszystko wyjaśniło. Wszystko, a więc fakt, że mając lat dwadzieścia parę — Tadeusz — 23, Stanisław — 25, pracując od 6 lat w Majedzie, od dwu lat — we dwóch zaczęli uczyć się w Technikum Mechanicznym, choć mają za sobą ZSZ i choć starsi mówili: „Chłopaki, po co wam to. Tu macie dobrze, godziny (nadliczbowe) można zrobić i zarobić". Zaczęli się uczyć sami z własnej woli, mimo że pracują na akord i na dwie zmiany („narobić się trzeba, i zarobek niepewny: raz o tysiąc więcej, raz mniej, tak średnio 1800—2000). Mimo, że kierownik (poprzedni), a to dał urlop w marcu, a to — w kwietniu, a jak interweniowali i musiał zmieniać, wołał w pasji: „idźta wszyscy do szkoły!". Mimo że w pracy człowiek się zdenerwuje („bo czasami chodzi się godzinę, albo dwie zanim się robotę dostanie, a robota powinna być naszykowana i czekać w rozdzielni, gdzie każda maszyna ma swą półkę") i do szkoły pod strachem idzie, bo czegoś nie umie. Mimo że w tym roku świadomie nie napisali podań o wcześniejsze wychodzenie z pracy, co im się należy — o czym dobrze wiedzą, bo nie chcieli żeby ten i ów na nich krzywo patrzył.

Więc pracują od 6 do 14. Potem obiad „w biegu" na mieście (do domu nie zdążą, a zresztą matki obie włókniarki nie są w stanie na te godzinę nic przygotować) i — do szkoły. Do 21. I tak cztery razy w tygodniu. Robią to wszystko chociaż często w szkole — „książkę mamy na stole, a głowę w łóżku". Robią, chociaż w kinie przez te dwa lata byli może z 8 razy, a „w towarzystwie" to prawie nigdy. (Na szczęście ich dziewczęta też się uczą i pracują. Jedna w technikum chemicznym, druga w budowlanym). Robią — chociaż i jeden i drugi wraz z rodzicami mieszkają w pokoju z kuchnią i nie zawsze ta nauka wszystkim na rękę.

Od matury dzieli ich jeszcze rok. A potem? Liczą na to, że — jak mówi matka Tadeusza — „będzie ci w życiu lżej, nie będziesz musiał tyrać jak ja". A poza tym: „Po zasadniczej szkole to mało wiemy, a jak się człowiek uczy to wszystko inaczej przyjmuje. I lepiej „czuje" robotę i rozumie to co w gazecie". Nie odstrasza ich nawet przykład jednego z ich starszych kolegów, co skończył technikum i zarabia mniej niż przedtem. Nie odstrasza ich nawet fakt, że dwuzmianowa klasa, do której chodzili od nowego roku będzie już tylko jednozmianową, a przecież oni pracują na dwie zmiany. Są zacięci, i rozsądni zarazem. Wiedza to jest to co chcą i będą mieć.

Wiedza, tyle że o szczebel wyższa to to, co chcą mieć również ich dwaj starsi koledzy z tejże fabryki. Bogdan Śniady (lat 24) i Władysław Mączyński (27) — studiują na II roku Wydziału Mechanicznego PŁ, na studiach wieczorowych. Po technikum mechanicznym, pięć lat temu rozpoczęli pracę w Majedzie w biurze konstrukcyjnym. Dwa i pół roku temu postanowili, że oni też nie gorsi i dyplom mieć mogą. („Musimy całe życie czarną robotę w biurze odwalać?") Jakim kosztem ten dyplom? Ogromnym. Na razie sobie z tego sprawy nie zdawali. Teraz sobie zdają, ale tym mocniej „czują, że muszą go mieć".

Najgorzej jak jest ładna pogoda, to człowieka odrzuca od książki i coś wprost wynosi albo na spacer, albo na basen, albo do kina. I tu by się poszło i tam. Tym bardziej, że i jeden i drugi niedawno się ożenili. Tym bardziej, że „człowiek patrzy po kolegach na roku i widzi z tego został „strzęp", ten odpadł i udaje, że się cieszy. A ja? Jak mam dostać dyplom i położyć się z nim do trumny, to nie warto" — mówi Śniady, dla którego nazwisko może być pseudonimem. Odbija typ urody. Bo przecież, gdyby się chciało spełnić wszystkie wymagania PŁ, to właściwie jest życie zmarnowane. Już po roku ma się całkiem dość. Na siódmą do pracy (pobudka bez golenia za pięć szósta), sześć i pół godziny przy desce. Człowiek wychodzi „spompowany", oczy zmęczone („do tej pory miałem dobry wzrok, ale to już czas przeszły" — mówi Śniady). Obiad — w biegu i już trzeba na Politechnikę. Pięć razy w tygodniu od 3 do 5 godzin zajęć.

A jak człowiek nie pójdzie? Na ćwiczenia — trzeba koniecznie. Zresztą... Śniady łapie się za głowę. „Mam co słuchać jak nie pójdę. I od mamy i teraz od żony. Mama jest strasznie nerwowa i potem całą noc nie śpi. Nie da rady — pewno myśli. Nie skończy — pewno myśli. Więc mama to najmocniejszy doping psychiczny. Po śmierci ojca (ojciec, tokarz, pracował też w Majedzie, ona obecnie również tam pracuje, mieszkają w bloku zakładowym, trzy piękne pokoje), moje studia i brata szkoła, to jej cel numer jeden. Syn musi być inżynierem. Koniec. Kropka. Tuż po technikum zdawał na PŁ. Zdał — nie dostał się. Nie szkodzi. Miał zawód. Właśnie po to go do technikum, a nie ogólniaka z ojcem pchali. (On zresztą sam nie znosi ogólniaka. „Ogólniak pachnie urzędem. Po nim — bez studiów, człowiek nadaje się tylko do działu rachuby. Brrr. Z papierem czy długopisem siedzieć, to nie dla mnie. Maszyna to jest coś. Maszyna a nie papiery".) Rodzice Mączyńskiego — oboje robotnicy, z tegoż widać założenia wychodzili, bo syna papiery po pierwszym roku w ogólniaku w tajemnicy przed nim (!), w czasie jego nieobecności do technikum przenieśli. I skończył. I dziś nie żałuje.

Żałuje tylko, że jeszcze tyle tej Politechniki. Dwa lata! Nie licząc oczywiście, obecnej sesji z czterema egzaminami, na które ma się 7 dni urlopu. Czego można się nauczyć w 7 dni? I cały czas — robota. Nie wakacje. Człowiek się nią przejmuje i po wyjściu wcale „nie ma z głowy". — „Jak robiliśmy np. nową maszynę (przewijarkę szybkobieżną) mówi Śniady, to śniło mi się, że tu a tu jest błąd. I faktycznie był! Inni koledzy „z konstrukcji" też mieli takie prorocze sny".

I pomyśleć: to wszystko za 2200 (Śniady) i 2000 (Mączyński) złotych miesięcznie, rzadko z premią. A ci spod Wydziału? Ach, łza się kręci. Kręci się wszystkim tylko nie tym co trzeba — tak mówię ja, nie oni. Nawet młodsi konstruktorzy z mniejszym stażem mają więcej. Więc napisali do dyrekcji. „Zgodnie z funduszami i kwalifikacjami" — grzecznie odpisano. I nikt nawet o ich opinię nie poprosił („Żeby powiedzieli — do kitu pan jest, ale nie — i to człowieka boli"). Chociaż bezpośredni szef (równy facet) usiłował im coś wywalczyć. Nie wyszło. Zaś naczelny biura wezwał tylko i przekazał pismo dyrekcji. Podpiszcie — oświadczył i ani słowa więcej. Nawet złego słowa.

No, ale jak skończą, to sobie to wszystko odbiją — ja tak mówię, nie oni. Odbiją... I zacznie się nowa epoka. Zawsze się tak człowiekowi zdaje. Byle to zaliczyć, tamto zdać, mieć sesję za sobą. Uff! Byle dziś było jutro. To jutro po tym najgorszym egzaminie. Jaki ja będę szczęśliwy człowiek. „Niech mnie wtedy Rockefeller pocałuje... A już po dyplomie! Mamo moja! Nic mnie nie zdenerwuje. Nawet to, że nie ma główków do kreślenia (skandal!) i trzeba żebrać od kolegów z innych biur: stary pożycz. Bo dziś w co człowiek wdepnie, to się wkurzy. A po dyplomie...?

Po dyplomie „się zobaczy", jak się zmieni stosunek do nich tych, co dziś traktują ich trochę „per noga". Strzelają na przykład jakimś wzorem i trzeba się zamknąć, bez dyskusji. — Choć wcale nie mam pewności, czy oni mają rację (Śniady). Uważają, że jak się ma dyplom to się ma monopol na mądrość (Mączyński). Młodszych kolegów, ale po studiach, z miejsca inaczej traktują, i towarzysko, i finansowo (obaj). Jedno jest pewne: im dyplom na mózg nie padnie. Bo znają takich, co pada. Od miesiąca np. go mają i już zmiana. Formy „na ty" się unika, to co było poddawane dyskusji jest obecnie podawane jako rozkaz itp. itd. I drugie jest pewne: że będą mieć ogromną satysfakcję. „Człowiek się namęczył, bo namęczył, ale coś z tego ma".

IRENA DRYLL

JERZY WILMAŃSKI

Ej, ty Wisło...

Słowo rejs kojarzy się z reguły z daleką podróżą — obce porty, obco brzmiące nazwy... Ale to nie o takim rejsie będzie mowa. I trasa niedaleka i nazwa swojska — Wisła...

1

A zatem nie Polskie Linie Oceaniczne, nie Polska Żegluga Morska, nie „Batory" — ale Przedsiębiorstwo Państwowe „Warszawska Żegluga" i statek „Generał Świerczewski". W warszawskim „Orbisie" nabyłem za złotych polskich 213 groszy sześćdziesiąt bilet klasy pierwszej (jak luksus, to luksus) oraz bon konsumpcyjny za złotych osiemdziesiąt. Dwa śniadania, dwie kolacje i jeden obiad. Kasjerka w „Orbisie" niczym kierownik sali w „Malinowej" oświadczyła — „tylko z konsumcją"... Niech będzie — na Wiśle przecież nie huśta, więc pieniądz nie wyrzucony, czy raczej... ale mniejsza z tym.

Trafił mi się — jak rzekłem „Generał Świerczewski", który do Gdańska płynie w każdy poniedziałek — godzina dwudziesta trzydzieści. Trochę mnie to dziwiło, że dla generała nie znalazł się w Polsce lepszy statek, ale ja nie narzekam. Mogłem trafić na przykład na „Lilię Wenedę", a z kobietami nigdy nic nie wiadomo. Generał człowiek wojskowy — zawsze budzi większe zaufanie...

Spakowałem zatem manatki i tuż przed wieczorem wkroczyłem na statek. Zamustrowałem się znaczy... kajuta numer 11, koja numer 2, na prawo kubryk, na lewo messa — w górze na maszcie bezantopsel umieszczony (oczywiście) na bezanmaszcie. Wypatruję gdzie tu kliwer, a gdzie waterbaksztang, gdzie bom grota i gdzie grotaszot. Ale już było ciemno i tylko walił dym z komina.

Poza tym głos z megafonu wzywał na kolację. Tłum więc też walił do messy, która tu, niestety, nazywa się jednak prozaicznie stołówką. Stewardessa, która tu jednak wszyscy zwą po prostu kelnerką, serwowała wytworny bigos. Kubryk nie był kubrykiem tylko kuchnią, kucharz za określenie „kuk" mógłby przyłożyć ścierką, a w ogóle wszystko to było raczej tramwajem niż statkiem.

2

Płyniemy, wietrzyk fakturuje powierzchnię Wisły i zaczyna robić się nudno. A przed nami 450 kilometrów i półtorej doby podróży. Jest tu jednak na szczęście idealne miejsce spotkań towarzyskich zwane bufetem, a będące po prostu budką z piwem. Nad budką ma ono tę przewagę, że jeśli jest zamknięte, to miłego pana w fartuchu nietrudno na tym statku znaleźć, a poza tym budka zaopatrzona jest w eksportowy „Full light" i niemiecki „Berliner pilsner". W środku lata, w środku Polski piwo w takim wyborze i takiej ilości jest atrakcją nie lada. Niestety, **jedyną atrakcją na statku...**

Nie tylko zresztą dla pasażerów. Kiedy zbliżaliśmy się do Torunia, a było to w samo południe, ujrzałem na przystani spory tłumek. „Pasażerowie" — spytałem. „Nie, to na piwo" — odpowiedziano mi. I rzeczywiście, po chwili tłumek walił już po trapie do otwartego kiosku, gdzie szczególne powodzenie miał „Berliner pilsner", którego w Toruniu nie kosztowano od tygodnia. Od ostatniego rejsu.

3

Płyniemy półtorej doby — nudzimy się jak mopsy. Na górny pokład strach wyjść, bo wiatr wieje taki, że łeb chce urwać, na dolnym pokładzie ławek bardzo mało i to na dziobie, gdzie też wietrzyk nielichy. W kajutach można spać, usiąść jednak już trudniej...

Nuda sprzyja rozmyślaniom. Myślę więc co za wariat będzie płynął statkiem trzydzieści siedem godzin za 300 złotych skoro do Gdańska za połowę tej ceny jedzie się pociągiem sześć godzin? A jednak na statku jest komplet ponad 80 osób i kupując w piątek bilet w warszawskim „Orbisie" kupiłem ostatni. Więc?

No cóż — wycieczki (są na statku dwie) płyną, bo to atrakcja. Jest trochę rodzin z dziećmi, ci traktują podróż jako element wypoczynku, no i jednak wygodę, której w takim stopniu nie zapewnia kolej. Pozostali płyną z ciekawości, bo nigdy statkiem nie płynęli.

Wreszcie element bardzo istotny. Płyniemy wolno, nie spieszy nam się — warunki relaksu dla nas zagonionych, wiecznie spieszących się „dzieci XX wieku" — znakomite. A jednak czegoś tu brak.

4

Pasażerskie statki „Żeglugi Warszawskiej" pełnią funkcje usługowe. Świadczą — jak się to mówi — usługi dla ludności. Szkoda więc, że są to usługi w skali raczej mini. Do Gdańska dowiozą i z głodu na Wiśle nie dadzą zginąć za te 300 zetów. Ale to też i wszystko.

A przecież dla wielu — zarówno dla grup wycieczkowych, jak i dla indywidualnych pasażerów — podróż „Generałem Świerczewskim" jest namiastką prawdziwej morskiej podróży i prawdziwego statku, gdzie kuchnia nie jest kuchnią tylko kubrykiem, gdzie nie ma jadalni tylko messa, gdzie wszystko jest inne, niecodzienne, bardziej egzotyczne niż w wagonie restauracyjnym i sleepingu. Niestety, zrobiono wszystko, aby podróż „Świerczewskim" uzwyczajnić.

Szkoda wielka, bo na ogół cierpimy na głód egzotyki. W naszym zwykłym codziennym życiu szukamy elementów właśnie niecodzienności. Podejrzewam, że większość pasażerów na ową niecodzienność podróży liczyła, że liczyli na nią organizatorzy wycieczek.

Przeliczyli się jednak, bo oprócz kiosku znakomicie zaopatrzonego w znakomite piwo i nieco gorsze wódki — pasażerom nie dano nic więcej.

Pod koniec drugiego dnia, kiedy już sobie dokładnie przeczytałem wywieszoną instrukcję na wypadek „człowieka za burtą" — zamarzyłem sobie nagle, aby pewien facet na gumowych nogach wyleciał za burtę. Wyłowiłoby go na pewno dziesięciu chłopców załogi i jakaż to byłaby atrakcja dla pasażerów.

„Kapitan kieruje całością akcji z mostku" — czytałem przecież w instrukcji. „Pierwszy mechanik daje sygnał „stop"... Eh, marzyciel, marzyciel. Nikt za burtę nie wyleciał, choć „poleciało" parę skrzynek piwa. Akcji ratunkowej nie było.

Ale nie żartujmy. Nie chodzi przecież o to, aby się ktoś topił. Czyż jednak nie można było zorganizować jakiegoś próbnego alarmu? Czy w ramach usług świadczonych przez „Warszawską Żeglugę" nie mogą mieścić się niewielkie „usługi rozrywkowe"? Przecież nie chodzi o strip-tease i kabaret, ale o przykłady sytuacji, jakie mogą się zdarzyć na wodzie.

5

Wisła jest rzeką, w którą się sporo inwestuje. Na trasie rejsu do Gdańska spotyka się ogromne dźwigi, ślady wielkich placów budowy — tamy, zapory, elektrownie — ja wiem zresztą. Rejs mógłby być wycieczką interesującą poznawczo — oczywiście, gdyby był ktoś na statku, kto pasażerów mógłby o tym informować. Niestety, z konieczności kontakt z załogą ogranicza się do kelnerki w messie w czasie posiłków i pana w kiosku, w przerwach między nimi.

A mijamy Włocławek, Ciechocinek, Toruń — mało mijamy, stoimy tam po dwie godziny. W Toruniu przystań znajduje się o niecałe 300 m od Rynku Staromiejskiego z gotyckim ratuszem, słynnym „Domem pod Gwiazdą", z koronkową, barokową fasadą, z pomnikiem Kopernika — wiadomo zresztą, że jest to najlepiej zachowany w Europie średniowieczny zespół urbanistyczny. Ale cóż, że wiadomo, skoro nie wiadomo, że to tak blisko.

Wyszedłem z „Generała" po drewnianym trapie, bo właśnie odezwał się megafon chrypiąc, że stoimy dwie godziny i kto chce — może pójść do miasta. Zacząłem obliczać ile czasu pochłonie mi wędrówka na Stare Miasto, bo w Toruniu byłem przed laty pociągiem i wiem, że z dworca to kawał drogi.

Pędzących po trapie miłośników pilznera spytałem czy to daleko. Któryś machnął tylko ręką w biegu, że blisko. Rzeczywiście, tuż obok przystani, tylko minąć masywną bramę, parę kroków uliczką nazwaną stosownie, bo Żeglarską — i już otwiera się niepowtarzalny urok cudownych, koronkowych niemal fasad starych kamieniczek.

6

Minęła spokojnie druga noc rejsu — Gdańsk już niedaleko, mijamy barki i kutry remontowane na pochylniach. „Czy to są suche doki" — pyta nauczyciel z Płońska, ale nikt mu nie odpowiada, bo załoga sztafiruje się w swoich kajutach do zejścia na ląd. „Czy zobaczymy ten słynny żuraw gdański" — chce wiedzieć nauczyciel, ale na to pytanie także nikt mu nie odpowie.

Tylko w kiosku informacja jest bezbłędna i aktualna. Obok piwa odchodzi także cytrynówka — „panowie, dziś w Gdańsku zakaz sprzedaży alkoholu". To się nazywa wyczucie rzeczywistości.

Pakuję manatki i wraz z tłumem pasażerów schodzę na ląd. Skończył się relaks i narzekanie na nudy — zaczyna się twarda rzeczywistość w przeładowanym pociągu do Łodzi.

Fot. M. Bartoszewski

Ci jasnowłosi mężczyźni w pięknych wozach

Dalszy ciąg ze str. 1

Szwedów, których codziennie rankiem wypluwa z siebie w Świnoujściu prom „Gryf".

Schodzą na udeptaną ziemię polską, płowowłosi chłopcy skandynawscy, bardziej z wyglądu słowiańscy niż sami Słowianie. Wita ich gościnny kraj. Ale nie nasza staropolska gościnność jest dla części z nich atrakcją. Nawet nie nasze kryształy i nasza Cepelia. Nie nasze dziki, jelenie i żubry z białowieskich kniei, ba nawet nie nasze najtańsze w świecie pensjonaty „Orbisu", (cztery dolary parenaście centów — zakwaterowanie wraz z wyżywieniem na dobę) lecz nasza wódka „Polish vodka". Smucić się tym czy cieszyć? W końcu nie nasza to wina ani zasługa. Oferujemy im pełny asortyment atrakcji turystyczno-wypoczynkowych — oni wybierają. Wedle gustu, potrzeb i pragnienia. Rekompensują na urlopach całoroczną powściągliwość alkoholową. Choć prawdę mówiąc owa sławna szwedzka prohibicja jest dziś dość iluzoryczna, jej granice wyznaczają tylko bariery finansowe.

W Szwecji mogą pić do woli najzamożniejsi. Do nas więc przyjeżdżają najubożsi. Przeważa wśród turystów szwedzkich płeć męska, usposobiona raczej swawolnie. Krzywdą byłoby jednak oceniać ich na podstawie zachowania w naszym kraju. Widzimy Szwedów przecież zaledwie w chwilach urlopowego rozluźnienia. Kraj nasz jest wtedy dla nich krainą szczęścia, tanich uciech i radości. Część z nich rzeczywiście bowiem traktuje swój pobyt w naszym kraju wyłącznie jako okazję do rzetelnego, solidnego upojenia. Libację zaczynają już na promie i na promie kończą. Bywają tacy, którzy zamiast iść do sztokholmskiej knajpy, siadają na prom, przysysają się do baru, dopływają do Świnoujścia i natychmiast wracają. Prom spełnia rolę pływającego szynku. Podobno łącznie z ceną biletu za przejazd, libacja taka wypada i tak taniej niż w szwedzkiej restauracji.

Wcale nie ukrywamy, że zależy nam na szwedzkich turystach i na dewizach. Czynimy wszystko, aby czuli się w naszym kraju dobrze, przyjemnie. Większość Szwedów rzeczywiście spędza u nas urlop w sposób kulturalny i godny. Jednakże trzeba dodać, że część „pseudoturystów" nadużywa polskiej, tradycyjnej gościnności, wykorzystując swój pobyt do rozrób i pijaństwa. Swym zachowaniem nie przynoszą zaszczytu Szwecji — krajowi, który w Polsce cieszy się dużym uznaniem i poważaniem. Dlatego w imię wspólnych, zrozumiałych interesów powiadamy szczerze i otwarcie: zależy nam na szwedzkich turystach, ale pseudoturystów i szumowin tolerować nie zamierzamy.

Polska jest krajem o wyjątkowo serdecznym stosunku do cudzoziemców. Cudzoziemcy powinni to zrozumieć i uszanować.

* * *

Trzeba przyznać, że ululani Szwedzi sprawiają niemało kłopotu personelowi „Orbisu". Udając się „w Polskę" nawiązują nie zawsze najwłaściwsze znajomości, wracają rankiem żałośni, skacowani, bez pieniędzy, nierzadko bez zegarka i marynarki. Czasem po dwóch dniach takiej niewybrednej zabawy muszą wracać do kraju, jak ów lekkomyślny młodzieniec w cyrkowej marynarce, którego widziałem schodzącego z promu w pewną lipcową sobotę. Przywiózł z sobą 400 koron, a wieczorem w „Bursztynowej" w Międzyzdrojach nie miał już czym uregulować rachunku. „Cynksiarzowi" sprzedał złoty zegarek, „dziewczynce" za najstarszą w świecie usługę ofiarował sześć koszul, w niedzielę rano kelnerowi dał w zastaw ową cyrkową marynarkę, a w poniedziałek autostopem dotarł do Świnoujścia i wsiadł na prom. Dla niego wczasy w Polsce już się skończyły.

Nie ulega wątpliwości, że przed własną żoną, ewentualnie rodzicami przyczyny tak krótkotrwałego pobytu w naszym kraju zostaną podane w sposób daleki od prawdziwych. Pewna odmiana szwedzkich dziennikarzy chętnie wykorzystuje tego typu niefortunne eskapady lekkomyślnych młodzieńców do napaści na nasz kraj. Niektóre gazety zupełnie otwarcie zniechęcają turystów szwedzkich do składania wizyt w Polsce. Znaczniejszych skutków to nie ma, ale liczba przyjazdów nieco w tym roku zmalała. Straty z tego tytułu nie są zbyt duże. Więcej traca sami Szwedzi.

O nastrojach w jakich znajdują się młodzi Szwedzi odwiedzający po raz pierwszy nasz kraj, niech świadczy pewna zabawna (dla kogo zabawna to zabawna) przygoda, która zdarzyła się synowi podkomisarza policji z Ystad Janowi Birgerowi Lundqvistowi. Natychmiast po przyjeździe poznał popularną, w Szczecinie „Alę — Szwedkę" oraz jej przyjaciół o równie egzotycznych przydomkach jak Al Capone (Pokrywczyński i Mustang (Żebrowski). W hotelu „Piast" zaczęła się szampańska zabawa. Drugiego dnia, wczesnym zimowym rankiem, była to właśnie zima, Jan Birger L. obudził się w wagonie kolejowym.

„Już mnie wiozą na Sybir" — pomyślał sobie i zaczął szukać dróg ucieczki. Wagon akurat stał na bocznym torze. Młody człowiek, nie namyślając się wiele, boso i w bieliźnie wyskoczył z pociągu i pobiegł skryć się w pobliskim lasku. Mróz otrzeźwił go nieco, więc zaczął się zastanawiać dlaczego pociąg wiozący go na Syberię składa się tylko z trzech wagonów, w dodatku sypialnych i bez lokomotywy. Po namyśle wrócił tą samą drogą, ubrał się i udał w kierunku Szczecina. Tam, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dowiedział się, że syberyjski pociąg to po prostu motel „Relaks".

Dlaczego jest potrzebny wodociąg Sulejów – Łódź?

Zastępca dyrektora Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej w Łodzi MGR INŻ. KSAWERY KRASSOWSKI powołany został ostatnio do objęcia stanowiska pełnomocnika do spraw koordynacji budowy nowego systemu wodociągu Sulejów — Łódź. Będzie to największa inwestycja przyszłej łódzkiej pięciolatki — wielki kompleks wodociągów. W chwili obecnej zespół projektantów Biura Projektów Budownictwa Komunalnego opracowuje projekt wstępny i techniczno-roboczy inwestycji, a w przyszłym roku podjęte zostaną prace przygotowawcze.

Na temat tego ogromnego przedsięwzięcia komunalnego rozmawiamy z inż. Krassowskim.

— Panie inżynierze, może na początku powie nam Pan o sytuacji, która skłoniła władze naszego miasta do podjęcia decyzji o budowie wodociągu.

— Właśnie w tej sytuacji tkwi przyczyna, dla której byliśmy zmuszeni do zapewnienia Łodzi nowych i to poważnych ilości wody.

Ostatnio nowe ilości wody otrzymała Łódź z budowy II etapu wodociągu Pilica — Łódź. Było to w 1964 roku. Od tej pory nie ma już dalszych możliwości zwiększenia wydobycia wody na tyle, by zaspokoić stale rosnące potrzeby mieszkańców i przemysłu. A potrzeby te rosną bardzo szybko.

Z II etapu wodociągu Pilica — Łódź otrzymaliśmy pokaźne ilości wody. Mimo to, już w chwili obecnej, wszystka woda dostarczana miastu zużywana jest na bieżąco i na przykład latem nie mamy żadnych rezerw.

W naszym bilansie wodnym zakładaliśmy, wzrost zużycia wody rocznie o 2 litry na jednego mieszkańca dziennie. Tymczasem już w 1967 r. wzrost ten podskoczył do 5 litrów na dobę. Może interesujące będą tu dane liczbowe z kilku ostatnich lat. W 1961 r. każdy statystyczny łodzianin zużywał 108,6 litra na dobę, w 1965 r. — 134,6 litra, w 1967 r. — 150 litrów wody. Na 1970 rok planujemy zmniejszenie zużycia do 145,8 litra, zaś na 1975 rok — ponowny wzrost do 171,5 litra.

— Czym tłumaczy się tak gwałtowny wzrost zużycia wody w Łodzi?

— Na marginesie muszę tu powiedzieć, że wśród wielkich miast Łódź dziś jeszcze stoi na ostatnim miejscu pod względem zużycia wody, a przyczyną jest fakt, że po wojnie miasto było w małym stopniu objęte siecią wodociągową. Mimo szerokiego rozwoju nowoczesnego budownictwa, udział budynków z pełnym wyposażeniem jest stosunkowo mały. Niemniej zużycie wody rośnie stale, tak jak rosną nowe bloki mieszkalne. Więcej wody zużywają sami mieszkańcy, stwierdziliśmy też, że instalacje wodociągowe w nowym budownictwie dają więcej przecieków niż w starym, skutkiem tego, wiele wody marnuje się bezużytecznie. Można by tu wymienić i brak nawyku oszczędzania wody przez samych lokatorów. Inną przyczyną jest zwiększenie troski o czystość miasta, większa ilość polewaczek na ulicach itd.

Coraz więcej wody pochłania również ciągle modernizujący się przemysł, mimo stosowania tak zwanych obiegów zamkniętych, czyli dwu, a nawet kilkakrotnego wykorzystania tej samej wody. Dlatego decyzją o kontyngentowaniu wody objęto już wszystkie zakłady, zużywające więcej niż 500 metrów sześciennych na miesiąc.

— Czy mimo to sytuacja nie ulega poprawie?

— Raczej stale się pogarsza. Odczuwamy to szczególnie w dwóch miesiącach: czerwcu i wrześniu.

— Dlaczego właśnie wówczas?

— Czerwiec jest dla mieszkańców miasta miesiącem przygotowań przedurlopowych, dla przemysłu zaś ostatnim miesiącem kwartału, okresem zwiększonej wydajności. Podobnie wrzesień. Dla łodzian — miesiąc powrotu z urlopów i przygotowań do roku szkolnego, powakacyjnych porządków, a dla przemysłu — znów koniec kwartału.

Te wszystkie przyczyny złożyły się na sytuację, w której już za parę lat w Łodzi mogłyby występować poważne niedobory wody i problem budowy nowego wodociągu stał się dla naszego miasta pierwszoplanowym. Notabene w okresie przejściowym, do momentu zakończenia budowy będziemy modernizować lokalne ujęcia wgłębne, czyli studnie głębinowe, by w miarę możności zwiększyć ilości wody uzyskiwane z tego źródła, eksploatowanego obecnie przez wodociągi. Jednakże stąd uzyskamy tylko niewielkie dodatkowe ilości wody.

— Inwestycja znajduje się właściwie dopiero w stadium początkowym. Co konkretnego można już dziś o niej powiedzieć?

— Myślę, że szczegóły techniczne byłyby dla czytelnika zbyt uciążliwe. Już dziś można wymienić inwestorów. Dwaj podstawowi to: Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego, które zajmie się przygotowaniem wodociągu Sulejów — Łódź i magistrali na terenie miasta oraz Centralny Urząd Gospodarki Wodnej, odpowiedzialny za zbiornik sulejowski, z którego woda będzie doprowadzana do miasta. Inni inwestorzy: prezydia rad narodowych na terenie województwa i zainteresowane zakłady przemysłowe, zajmą się uporządkowaniem gospodarki ściekowej w zlewni Pilicy tak, by rzeka była jak najbardziej zabezpieczona przed zanieczyszczeniami z fabryk.

— Panie inżynierze, mówimy cały czas o tej gigantycznej inwestycji, a my, codzienni konsumenci wody nie wiemy właściwie co się na tę inwestycję składa?

— Zapora, przy której powstanie elektrownia, zbiornik, którego długość wyniesie około 14 kilometrów, a pojemność około 100 milionów metrów sześciennych, system wodociągowy: ujęcie, żelbetowy kanał wodny o długości około 40 kilometrów, stacja uzdatniania.

— Stacja uzdatniania to filtry?

— Nie. Prawdopodobnie zastosujemy tu zupełnie nową, nieznaną jeszcze w Polsce metodę oczyszczania wody, ale o tym nie chciałbym jeszcze mówić, bo sprawa nie jest definitywnie zakończona. Ze stacji uzdatniania woda popłynie wodociągiem poprzez stacje pomp do magistrali miejskich.

— My tu rozmawiamy cały czas o Łodzi, a przecież i sulejowianie czekają na tę budowę niecierpliwie. Szykują się do budowy pięknego ośrodka sportów wodnych, który ma powstać wokół zbiornika.

— W tej chwili badamy w jakim stopniu będzie można wykorzystać zbiornik dla stworzenia ośrodka wypoczynkowego. Konkretnie chodzi o to jaką ilość wczasowiczów można zgromadzić wkoło zbiornika aby nie zaszkodziło to jakości wody, nie uczyniło jej niezdatną dla wodociągu.

Kiedy przewidziane jest oddanie wodociągu i w jakim stopniu zaspokoi on potrzeby miasta?

— Zakończenie budowy przewidziane jest na 1974 rok.

— A czy przypadkiem do tego czasu przemysł i budownictwo mieszkaniowe nie rozwiną się tak, że znów będziemy mieli mało wody?

— Właśnie dlatego powiedziałem, że jest to pierwszy etap. Drugi przewiduje budowę drugiego kanału, przepompowni i powiększenie stacji uzdatniania. Ale o tym jeszcze za wcześnie mówić.

— Myślę, że łodzian, usatysfakcjonują wiadomości o pierwszym etapie.

Rozmawiała:

TERESA WOJCIECHOWSKA

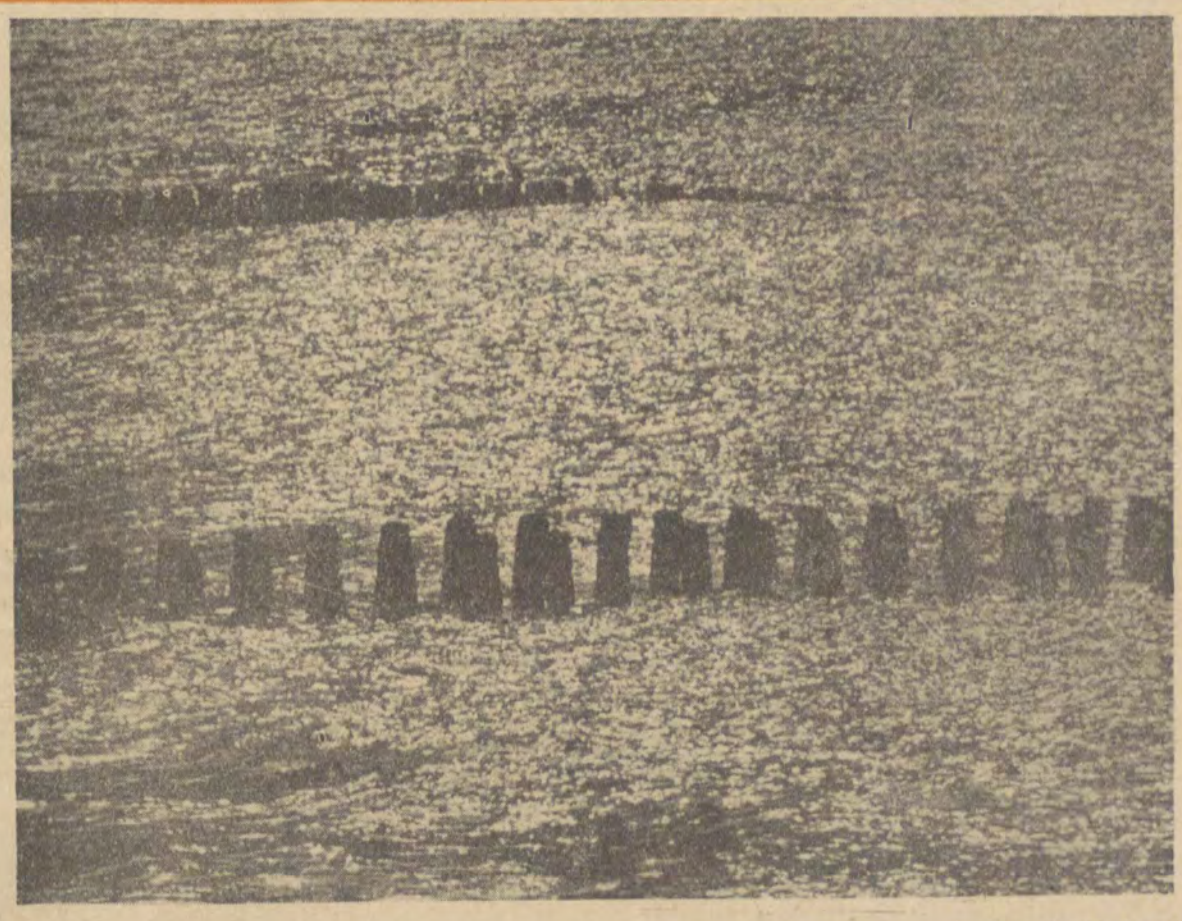

Fot. S. Chybowski

Od tego momentu, nieufny syn podkomisarza policji z Ystad nabrał takiej ufności do naszego kraju, że więcej czasu spędzał tutaj niż w swej własnej ojczyźnie. Zwiedził Zakopane, Gdańsk, Olsztyn, Łódź, Wrocław, a nawet Zduńską Wolę, gdzie w charakterze narzeczonego odwiedził rodziców panny Danuty Kaczmarkiewicz. Wiele dziewcząt w miasteczku zaopatrzyło się wówczas w szwedzkie bluzki i sweterki. Ba, nasz przedsiębiorczy Jan Birger L. nawet swego ukochanego tatę policmajstra namówił na ekskurs do komunistycznego kraju.

A tak w ogóle, to junior Lundqvist okazał się młodzieńcem zdolnym, niestety, do wszystkiego. Jego wojaże po naszym kraju okazały się dalekie od turystycznych. Po prostu opylał naszym rodakom islandzkie korony, które są dziesięciokrotnie mniej warte niż szwedzkie. Nie mógł tego oczywiście czynić w Szczecinie, gdzie fachowcy z waluciarskiej branży doskonale odróżniają pieniądze szwedzkie od islandzkich, więc zapuszczał się w głąb kraju w poszukiwaniu naiwnych.

Dziś, gdy to piszę, na ławie oskarżonych Sądu Powiatowego w mieście Szczecinie, obrotny J. B. L. czeka na wyrok. Niestety, żadna z gazet szwedzkich nie przysłała swego specjalnego wysłannika na tę interesującą rozprawę. Natomiast w ubiegłym roku latem gazeta „Aftonbladet" nie omieszkała zamieścić mrożącej krew w żyłach informacji:

„Trzydziestoletni kupiec z Växjö został aresztowany przez policję. Od tego momentu żona nie otrzymała żadnej informacji..."

Dalej już nie będę cytował. Dodam tylko, że cała informacja streszcza się do jednego — drżyjcie Szwedy bo w Polsce urządza się na was policyjne łapanki. Na szczęście nieliczne tylko gazety szwedzkie wypisują tego typu brednie. Nie służą one ani nam, ani turystom szwedzkim. Niemniej to prawda, że 30-letni kupiec z Växjö został aresztowany w Warszawie. Zdarzyło się to 9 sierpnia 1967 roku w hotelu „Europejskim". Jego nazwisko: Inqvar Karl Gunner Hamnell. A oto jego list do prokuratury:

„Proszę Pana Prokuratora, abym mógł korzystać z podręcznika nauki języka polskiego ponieważ pragnę uczyć się polskiej mowy — czytania i pisania. Po odbyciu kary nie chcę wracać do Szwecji. Chcę pozostać w Polsce na prawach azylu politycznego. Mam tu w Szczecinie polską rodzinę, u której mogę zamieszkać bezpłatnie. Po uzyskaniu rozwodu z żoną część mego majątku i oszczędności zostanie mi przekazana do Polski. Pragnę tutaj pracować w PEP „Orbis".

Mam niejakie wątpliwości, czy prośba zostanie spełniona. Hamnell jest żywym dowodem, że jednak najłatwiej i najszybciej nawiązują z sobą nici przyjaźni „niebieskie ptaki" z obu stron Bałtyku. A szkoda. Szwedzi cieszą się na ogół wśród Polaków dużą sympatią.

Potopu już im nie pamiętamy.

Ale wróćmy do „kupca z Växjö". Jego czyny rzeczywiście układają się w barwny romans kryminalny pisany w konwencji prokuratorskiej. Przyjechał do Polski białym sportowym „renault-caravelle" (takie wozy wynajmuje się tam za 15 koron na dobę), zamieszkał w hotelu „Piast" w Szczecinie, pokój 213, przywiózł z sobą 10 ortalionowych płaszczy, które spienięży za 12 tys. zł i zaczął rozrabiać. Na wstępie krążył po całym hotelu z butelką szampana, gdyż słyszał, że to robi dobre wrażenie na Polakach. Nie omylił się. Najlepsze wrażenie zrobił na 21-letniej Barbarze Gajewskiej, która również lubi krążyć po hotelach. Później pojawiły się inne damy do towarzystwa. Nazwisk ich jednak nie będę wymieniał, gdyż mogłoby to być poczytane jako reklama Korpusu Obsługi Cudzoziemców, w skrócie KOC.

Ażeby jednak Hamnellowi nie było w Polsce za wesoło na początku skradziono mu paszport. Uczynił to do spółki z polskimi kamratami jego krajan, wspomniany już wyżej syn podkomisarza z Ystad. Paszport został „zorganizowany" dla Maksa Scharmacha z Gdańska, uciekiniera z więzienia. Maks dzięki temu przedostał się do Szwecji, pod kluczem natomiast znaleźli się jego przyjaciele. Nic w przyrodzie nie ginie. Ale spokojna głowa. Hamnell z powodu utraty paszportu znów tak bardzo nie cierpiał. Nie przeszkodziło mu to pomóc oszustowi Pokrywczyńskiemu w oszukaniu innego oszusta znanego w Gdańsku, oczywiście milicji, niejakiego „Lysonia". W zamian otrzymał glejt od Al Capona — Pokrywczyńskiego polecający go swemu przyjacielowi w Warszawie. Gdyby Hamnell znał język polski wówczas przeczytałby: „Marku! Posyłam Ci Szweda. Możesz na nim dobrze zarobić, ale bądź ostrożny".

Lecz zanim Hamnell zdołał zgłosić się do Marka już poznał w hotelu „Europejskim" ex-aktora z Krakowa, niejakiego Kibila, w którym tego samego dnia zakochała się Szwedka i postanowiła go zaraz z sobą zabrać do rodzinnego kraju. Kibil wprawdzie jechał do żony i do dzieci do Olsztyna, lecz pod urokiem Szwedki łatwo zrezygnował z peregrynacji do familii i postanowił po drodze wstąpić do „wolnego świata".

W polu widzenia zakochanej pary pojawił się nieoczekiwanie dobry duch Hamnella. Tendy się tylko zorientował w czym rzecz, oświadczył zakochanej parze, że lepiej trafić nie mogli. Przemycił on w swym skromnym a burzliwym życiu już 17 osób do Szwecji (tak przynajmniej twierdził) i jest to w ogóle jego chleb codzienny i hobby. Wziął od Kibila 3 tysiące złotych zaliczki i poszli opić sprawę. Rankiem parvel Kibil obudził się pod hotelem „Polonia" i skonstatował brak 7 tys. zł, 70 dolarów i dwóch złotych obrączek, które świadcza wydatnie, że faktycznie gotów był popełnić bigamię. Rozgniewany na Szweda Kibil pobiegł do hotelu „Europejskiego". W drzwiach natknął się na Hamnella. Akurat wyprowadzała go milicja. Hamnell aresztowany został pod zarzutem wywołania awantury w hotelu. W śledztwie ujawniło się przy okazji, że to on m. in. brał udział w przemycaniu do Szwecji eksponatów skradzionych w Muzeum Szczecińskim. Znaleziono również przy nim gotówkę Kibila.

Od tamtego czasu przestały się ukazywać w jednej z gazet szwedzkich następujące ogłoszenia:

„Jadę do Polski. Mam w samochodzie cztery wolne miejsca. Zgłoszenia pod Anita".

Na takie ogłoszenia odzywały się wyłącznie kobiety. Podróż ginekologiczna kosztowała 1.500 koron plus opłata za zabieg, którą pan doktor Michał Danielewicz ze Szczecina pobierał tylko w dolarach. Wyrok w tej sprawie opiewał na dwa lata i pół miliona złotych grzywny.

Pięknym i modnym kurortem są Międzyzdroje.

KAROL BADZIAK

JERZY WALENCZYK

Gdzie rosną drzewa?

Gdzie rosną drzewa, gdzie, milczące i posępne, kto znajdzie dla nich ulicę, pole, drogę? A ich rozpacz, ich płacz, ich pożądanie. Spróbuj je znaleźć, kiedy pokryte błękitem, urywają się nagle, jak przestroga nieubłagana. Gdzie rosną drzewa, gdzie wznoszą się, gdzie walą, gdzie rozsypują liście, spróbuj, odgadnąć, przylgnąć, kiedy śpią w bezwietrznej przestrzeni, znarkotyzowane. To byłby odpowiedni moment. Podejdź je od tyłu, nagle. Będą ci wdzięczne, chociaż uczucie to nie od razu zagłuszy ich lęk.

Ale gdzie rosną drzewa, pełne pychy i wyrzeczenia, niezagłuszone przez pory roku, przeznaczenie bez sofizmatu, ciemny smak goryczy. To nieustające poszukiwanie, ten środek leczniczy, te paroksyzmy bólu, ta pomoc i ulga. Ale gdzie rosną drzewa, przez co pojawiają się, przez co, może odnajdziesz glebę dla ich korzeni, krajobraz dla ich linii, owoc dla ich gałęzi, przestępstwo dla ich natury. Słuchaj prognostyków, zrób dysekcję owocu, który dotarł do ciebie przypadkowo przywieziony na rynek, ciekawość to osobliwa, podda się milcząco badaniu, tylko nie machaj rękami, jeżeli chwyciłeś jego jedną cechę.

Ale gdzie rosną drzewa, nieruchome, nagle znikające, jeżeli na chwilę opuściłeś oczy, kto je przywróci, czyja łaska i hojność.

Jeżeli patrzysz na nie poprzez przelaną krew, jeżeli patrzysz na nie poprzez poranną mgłę, jeżeli patrzysz poprzez lęk degradacji, nie chciałbym, aby cokolwiek wstrzymywało cię w ich odnalezieniu. Pamiętaj o zmęczeniu. A one płochliwe i trwożne, niespokojne i przewrotne, nędzne i bezczelne.

Gdzie rosną drzewa, gdzie wina ich ojców, błąd ich braci, zazdrość ich sióstr. Nie podchodź do nich schylony z brzytwą otwartą, aby naciąć im nagle skórę i aby popłynął z nich lepki, odurzający, wyborny w smaku sok. Rozumiałbym twoją ludzką udrękę, katastrofę osobistą, gdyby się okazało, że prawo inercji drzew przestało istnieć.

Lecz, gdzie rosną drzewa? Już przyszli się pytać, gdzie rosną.

Spektakl

Za chwilę ma się rozpocząć przedstawienie. W ciasnym pokoiku garderoby szamocą się moi aktorzy i młode aktoreczki schwytane w elastyczne biustonosze, zaplątane w ażurowe pończochy, posłuszne sygnałowi, bliskie i dalekie, skupione i niespokojne, suknie wesołe lub tragiczne, odpowiednie do okoliczności. Jeden z moich aktorów w mundurze uśmiecha się do mnie drwiąco i szczypie w gołą łydkę, pełną i białą, dziewczynę czekającą na znak.

Za chwilę ma się rozpocząć przedstawienie. Uchylam kurtyny i widzę jego. Siedzi w trzecim rzędzie, twarz skażona, samowolna. Oparty o ciemność, zza której wyślizguje się reflektor wypożyczony, słońce mojej zawodnej radości. Jest on całkowicie w rękach operatora, zwiastuna początku i precyzyjnego końca. Drżący, zakryty mrokiem, przyciska słońce do serca.

Teraz już jest czas na rozpoczęcie. Zasuwam kurtynę, rosnące oczekiwanie milknie.

Lecz moi aktorzy i moje aktorki znikają. Garderoba jest pusta, a suknie były ściągnięte z umarłych, mundury z zabitych, zastygłych.

Spektakl zapowiedziany! Wzmianki i anonse kraczą skrzydlatymi czcionkami, przypominają.

Wskakuję na scenę myśląc, że moje ukazanie się rozpogodzi próżną i odległą. Zamiast desek rosną mi pod stopami wzgórza, miękkie uginające się, poruszające się w śnie bez kształtu, bez formy, bez głosu, bez słuchu, bez zapachu, w śnie męczącym i męczonym.

I wiem, że jestem w wysokiej szopie fabrykanta mojego dziadka, wzgórza są workami wątoliny. Padam na nie, obejmuję, zakurzone i brudne, tarzam się, turlam, oblepiony watoliną, pięcioletni, czysty.

Kurtyna jest zamknięta, pozszywana z rozprutych worków grubych i ciężkich. Wstaję, wychylam głowę patrząc czy nie idzie nasz pracodawca. Ale nie! Wychodzę i kurtyna faluje za mną. Obok jest wyjście do stajni. Nasz pracodawca nie jeździ starym, niebieskim Fordem zamkniętym w garażu. Otwieram płaskie wieko wielkiej skrzyni i zanurzam ręce po przeguby w złotych ziarenkach owsa. Boję się jednak koni; oparty o skrzynię przesypuję owies z garści do garści, z garści do garści.

Głód

Jestem głodny. Przetrząsnąłem wszystkie szuflady, wyczerpałem wszystkie środki, pozbierałem resztki drobnych monet, jakie rozsypali mi koledzy na dywanie. Znów się zacznie troska o żywność. Mógłbym sobie kupić trochę pieczonych kasztanów z piecyka ulicznego. Ale to nie starczy na długo.

Za miastem, gdzie zamyślone obłoki, gdzie przestrzenie nieważkie, gdzie czuły podmuch, rosną przecież buraki. Więc jadę za miasto. Tramwaj pozdrawiają gałęzie. Oto granica. Pole buraków zielone i lśniące po deszczu drży liśćmi, ruchome i bezbrzeżne. Chwytam za liście skrzypiące pod uciskiem palców i wyciągam duży dzwon buraka oblepiony czarną, tłustą ziemią. Drugą ręką wyciągam mój szwajcarski scyzoryk ze znakiem białego krzyża na czerwonej oprawce, otwieram ostrze i zeskrobuję ziemię szybkimi ruchami. Burak urodzony, oczyszczony, obracam go, przyglądam się, unoszę i tnę cienkie plasterki i wkładam do ust. Bardzo mi smakuje. Jestem już syty i połowę buraka wyrzucam. Głód minął. Błogosławione pole buraków.

No, a teraz mogę już iść na porządny obiad.

JAN SZTAUDYNGER

No i co?

Minęła młodość chmurna i górna
Została starość durna i bzdurna.
No i co?
Nie wiem: dlaczego? I nie wiem: po co?
Na świat wychodzę jedynie nocą.
No i co?
Miałem wzniosłości i ideały,
Ale zwietrzały, ale sparciały.
No i co?
Tańczę i mieszam co drugie słowo,
Ciemności schlebiam, że jest laurowo.
No i co?
Odprowadziwszy słabych na stronę
Silniejszych zawsze biorę w obronę.
No i co?
Na ludzi patrzę sową i wilczkiem,
Chwalę z jazgotem a kąsam milczkiem,
No i co?
Do dupy włażę z miną tak dumną,
Jakbym się stawał nieba kolumną.
No i co?
Wiecznie trwać będę. Tak szumnie ręczę
No a przemijam szybciej, niż tęcze.
No i co?
Po każdej zdradzie i przewrotności
Składam przysięgi stałej wierności.
No i co?

* * *

No, i co?
Głoszę zuchwałe szlachetne hasła
A dbam, by chlebuś nie był bez masła.
No i co?
Choć się niesławą krztuszę i duszę,
W pozornej sławie chodzę, jak paw.ie.
No i co?
Choć w głębi duszy złorzeczę światu
Na pozór wznoszę tysiąc wiwatów,
No i co?
Bliźniemu mówię: „pójdź do mnie, bracie".
Wypinam dynię i ściągam gacie.
No i co?
Wyście mnie za to kląć nie powinni,
Chyba, że wy jesteście inni?
No i co?

Bez strachu

CZY SOKRATES BYŁ CHORY?

Powiada Sokrates, ten Sokrates opisany przez Platona i Sokrates z innych nielicznych źródeł, że odzywa się w nim często pewien głos wewnętrzny, który nigdy mu nic czynić nie nakazuje — natomiast zabrania mu niekiedy czynienia pewnych rzeczy. Sokrates twierdzi, że jest to głos Boga, ducha czy demona — znaczenie tych słów zresztą było wtedy nieco odmienne niż u nas — w każdym razie jest to zdaniem Sokratesa głos istoty nadprzyrodzonej — głos redukujący, głos zakazu. Niektórzy twierdzili, że Sokrates wyraża się przenośnie — ma mianowicie na myśli nie wyrzuty sumienia bowiem sumienie — może nastąpić dopiero po uczynku lecz wyobrażenie o przyszłych wyrzutach sumienia powstrzymujące przed takim czy innym uczynkiem. Sokrates jednak wyraźnie mówi o głosie — pytałem o tę sprawę zmarłego przed laty wybitnego psychologa, profesora Alberta Dryjskiego — otóż Profesor uważał, że nie chodzi tu o aprioryczny głos sumienia lecz o halucynację słuchową doznawaną uporczywie przez Sokratesa. Jakże więc to Sokrates racjonalista, Sokrates najtrzeźwiejszy z myślicieli — fundator i filar filozofii europejskiej doznawał halucynacji i kierował się tymi halucynacyjnymi dyrektywami? Wielu ludzi doznaje halucynacji, ale zapominamy o nich po pięciu minutach — są to halucynacje zwiewne, halucynacje bez znaczenia psychologicznego, biologicznego czy społecznego. Oto budzę się rano i widzę jakiegoś faceta, który siedzi na krześle koło mojego łóżka, przecieram oczy i nie ma faceta. Podobne zwiewne halucynacje wynikają z nadwrażliwości zmysłu wzroku czy też słuchu... Wracajmy jednak do Sokratesa i do jego Dajmoniona tak bowiem nazywał autora tego głosu. Sokrates był genialny czy genialiczny. Udziałem takich osobników o psychice niezmiernie wysoko zorganizowanej bywają pewne jej zaburzenia — rzecz szczególna, zaburzeniom nie podlegają centralne części ich psychiki — ośrodki myślenia — lecz właśnie jej wrażeniowe marginesy. Wydaje się, że tak olbrzymia ilość koncentrującej energii spożytkowana została w ośrodkach myślenia, że nie starczyło już jej na obsłużenie innych stron psychiki, zatem owe „niższe" części psychiki podlegają upośledzeniom graniczącym z chorobą...

Jednak sokratesowy Dajmonion będący raczej tylko halucynacją udzielał swych zakazów w kwestiach ważnych, w kwestiach etycznych i Sokrates zakazom tym, zakazom pozarozumowym był posłuszny — on który głosił i praktykował prymat trzeźwego myślenia — wierzył głosowi, którego natury nie był w możliwości zgiębić... cóż zatem sądzić o tej sprzeczności? Czy istnieje dziedzina medycyny budująca ważne przypadki z przeszłości? A był to przypadek niezmiernie ważny, przypadek który w pewnym stopniu zaciążył na kulturze europejskiej — być może sprzeczności psychiczne Sokratesa stały się zaczątkowym składnikiem sprzeczności kultury europejskiej — dlatego tak kapitalną sprawą jest znalezienie odpowiedzi na pytania czy i na co Sokrates był chory?

BERNARD SZTAJNERT

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

„Trzy zorze dziewicze"

Na nową książkę **Stanisława Czernika** składają się eseje poświęcone twórczości ludowej. O twórczości ludowej pisywano wiele, i nasz autor ma w swym dorobku wiele prac poświęconych tej problematyce. Ale jego nowa książka ma charakter nowatorski i ukazuje zarówno same motywy, jak i ich rolę mitotwórczą w zupełnie nowym aspekcie. Oto odwieczne mity ludzkości ulegały modyfikacji w zależności od warunków bytowania ludzkiego i stopnia rozwoju cywilizacyjnego. Autor sugestywnie ukazał nam też ciągłość tradycji — niezależnie od miejsca narodzin mitu i czasu jego powstania oraz zadziwiającą niekiedy wędrówkę motywów mitotwórczych w ludowej twórczości.

Wiele prac z tego zbioru mieliśmy okazję czytać w różnych periodykach. Gdy je zebrano w jednym zbiorze łatwiej dostrzec stosunek intelektualny i chyba emocjonalny autora do spraw, o których pisze, można też prześledzić programowe założenia pisarza w tej kwestii. Nie ulega bowiem wątpliwości, że prace te stanowią dopełnienie programu poetyckiego Stanisława Czernika, któremu pozostał wierny od młodych lat.

W programie tym, jak wiadomo, autor kładł duży nacisk na związek literatury z folklorem. W pracy noszącej tytuł „Wygłos — pierwszy", Stanisław Czernik ukazuje nam głębie związku poezji Cypriana Norwida z folklorem, zrozumienie wartości tego co stworzył lud i uniwersalne znaczenie tej twórczości. Przy okazji autor mówi o stosunku Norwida i wielu innych wybitnych polskich artystów do twórczości ludowej. Solidaryzuje się on z przeciwnikami „stylizacji", tego potwornego zabiegu, dzięki któremu powstaje „kabaret", bzdura równie sentymentalna co szmirowata. Nawiasem mówiąc przydałaby się praca na temat obrzydzania ludziom folkloru, przy pomocy „ludowych" pieśni, pisywanych przez starych „stylizatorów" i podawanych przy pomocy choćby i „Mazowsza".

W tym znakomitym i pięknym zarazem eseju Czernik odkrywa nam najgłębiej pojęty związek folkloru z twórczością wielkiego poety. Norwid pierwszy, jeśli nie odkrył, to przeczuł zjawisko archetypu — pisze autor, wskazując na nowatorski stosunek poety do twórczości ludowej.

W innej pracy autor stara się wskazać na nieeksplorowane terytoria twórczości ludowej i zarazem zaniedbania w dziedzinie jej badania. Jednocześnie ukazuje on, jak ścisłe związki i zależności istnieją między folklorem, a dorobkiem kulturowym narodu. Wnioski z lektury tego eseju winni wziąć do serca szczególnie — młodzi poeci. Przy okazji Czernik zwraca uwagę na formy językowe zachowane w twórczości ludowej i piękno tych archaizmów.

Inna zaleta prac Czernika polega na ukazaniu źródeł poszczególnych mitów. W czasie sięga on przy tym do naszej przeszłości jeszcze przedhistorycznej. Z kolei na konkretnych przykładach autor opisuje ewolucję mitu, jego modyfikację w warunkach kultury chrześcijańskiej, gdy zaistniała presja ze strony Kościoła, gdy wyznawcy dawnych wierzeń byli potępiani za kultywowanie obyczaju „barbarzyńskiego". Tymczasem jednak siła starych kultów była tak wielka, że przeniknęły one do wierzeń chrześcijańskich wzbogacając w ten sposób obyczaje i kulturę tej nowej formacji.

Autor książki — wybitny znawca przedmiotu i znakomity erudyta, porusza się na terenie swych badań z wielką swobodą. Dzięki temu łatwo mu prześledzić związki między mitami poszczególnych ludów i formacji kulturowych w czasie i przestrzeni. Trudno byłoby prześledzić wędrówkę pewnych pojęć i wierzeń. Ale sama treść mitu wskazuje na te związki. Oto konfrontacja: Kult „Różanopalcej" zrodzony w zamierzchłej starożytności greckiej, wyeksponowany przez Homera, ma swój odpowiednik w wierzeniach naszego ludu, tu jawi się w postaci „Trzech zórz dziewiczych". Rzecz prosta jest to tylko jeden z licznych przykładów. Czernik wyciąga stąd wniosek, że zależność ta ma charakter archetypiczny.

Być może jest to teza trochę ryzykowna, bo przecież można by doszukać się związków mitów odległych w czasie i przestrzeni, w jedności losu ludzkiego wobec różnych zjawisk przyrody. Jednak podobieństwo motywów, jakiego doszukuje się nasz autor, bywa niekiedy tak uderzające, że trudno by było odmówić mu racji.

Na koniec warto zacytować autora. Oto ustęp końcowy z przepięknego eseju zatytułowanego „Słowo": „Proces powstawania i upadków, coraz to nowych kultów jest zjawiskiem odwiecznym i chyba wiecznym, wiecznym w ograniczonym ludzkim pojęciu. Jako rzecz ludzka dotrwa do końca ludzkości, chyba że przedtem ludzkość wyzwoli się spod wpływu wszystkich kultów, zostawiając dla siebie jedyny, ciągle rodzący się w mękach i umierający w mękach kult Człowieka, kult wolny od bóstw i szatanów. Kult taki stałby się dopiero kresem pierwotności".

Tymi słowami Stanisław Czernik zamyka swą książkę.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że w zbiorze tym, w którym autor pomieścił prace sięgające w przeszłość, jak i wiążące folklor z dorobkiem kulturowym narodu już współczesnego — jasno rysuje się jego myśl przewodnia. Pilny czytelnik znajdzie tu związki niewątpliwe teorii poetyckiej Stanisława Czernika z jego badaniami z zakresu mitologii ludowej.

Książka ukazała się w niewielkim nakładzie i szybko znika z półek księgarskich. Sądzę, że warto ją polecać szczególnie młodym poetom, jest to bowiem dzieło, które może mieć kapitalne znaczenie dla ich twórczości poetyckiej.

Na pochwałę zasługuje także wydawca, który dołożył wiele starań, by książka otrzymała należną oprawę graficzną i bardzo ładnie dobrane ilustracje.

Stanisław Czernik „Trzy zorze dziewicze" (Wśród zamawiań i zaklęć), Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1968, str. 226, cena 13 zł.

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

Amerykańska antyliteratura

Reklama czyniła, co mogła, żeby zrobić z **Capote'a** wielkiego pisarza. Przyznać trzeba, że przedmiot reklamy dzielnie jej w tym pomagał. Fanfary towarzyszyły wydaniu (w r. 1966) powieści **„Z ZIMNĄ KRWIĄ"**, o której wieść niosła, że składa się z opisu najprawdziwszych faktów i z najautentyczniejszych relacji.

W miasteczku Holcomb w r. 1959 zamordowano rodzinę farmera. I oto sam Capote osobiście przewertował protokoły sądowe, utrwalił relację świadków i rozmowy z mordercami, żeby dać czytelnikom rzeczywistość, niesfałszowaną żadną fikcją. Pisarska pasja poznawcza zawsze jest godna szacunku. Ważny jest jednak także jej wynik.

W poprzednich swoich książkach Capote uparcie usiłował dowieść, że świat jest bardzo dziwny — w tym celu tworzył „niecodzienne" sytuacje lub „niecodzienne" postacie. Stosowanie tych samych chwytów wystarcza jednak na krótko — potem może grozić monotonią. Capote więc postanowił dla odmiany przedstawić morderstwo jako sprawę zwyczajną. Dotychczas literacki efekciarz, ograniczył maksymalnie efekty literackie, a raczej odwrócił ich podstawę. Ofiary morderstwa kończą życie w aurze codzienności, w drugim planie mordercy rozmawiają o planowanej zbrodni też zwyczajnie, codziennie, czyli z zimną krwią. Napisaną w ten sposób książką Capote wmanewrował się w dyskusję o przyszłych losach i perspektywach powieści, toczącej się w Ameryce i w Europie. Wmanewrował się, pisząc książkę, która można było zaklasyfikować jako antyfikcyjną literaturę faktu. Warto przy okazji zastanowić się, co się kryje pod tym określeniem. Nie będziemy przecież wracać do starych naturalistycznych złudzeń, że można odtworzyć rzeczywistość z fotograficzną dokładnością. Jakie jednak zająć stanowisko, jeśli pisarz posługuje się autentycznymi faktami i autentycznymi wypowiedziami? Już dawno wiadomo, że ludzka rzeczywistość składa się nie tylko z tego, co zostało powiedziane i zrobione, ale także z tego, co nie zostało powiedziane i zrobione. Wiara w to, że autentyczna relacja zbliża nas do rzeczywistości, byłaby wiarą naiwną. W nauce odróżniamy opis eksperymentu i różne szczeble uogólnień. Wiedza pisarska także może ograniczać się do opisywactwa dla niego samego, lub być wiedzą oparta na syntezie. Te same prawa obowiązują także literaturę faktu, o ile ma być ona literaturą. Z pewnością na powstanie jej wpłynęła chęć odświeżenia techniki pisarskiej, która ostatnio często bywa wtórna, a niekiedy zajmuje się samą sobą. Literatura faktu zawiera jednak interpretację, podobnie jak każda inna literatura. Kryje się ona w wyborze faktów i w ich montażu. Interpretacja ta jednak stwarza iluzję obiektywności, ponieważ fakty i wypowiedzi są autentyczne, a więc wydaje się nam, że to nie pisarz interpretuje fakty, ale fakty nawzajem się interpretują. Efekty takiej techniki z pewnością bywają interesujące, szczególnie wtedy, gdy fakty są powszechnie znane.

W książce Capote'a jednak nie mamy iluzji obiektywności. (Uniemożliwia to już zresztą motto z Villona). Bohaterami tej powieści są nie zamordowani, a mordercy. To właśnie ich śmierć na szubienicy ukazana jest w konwencji tragicznej (jest to zresztą wyraźnie dointerpretowane przez autora dodatkowymi biografiami innych morderców), do nich należy ostatnie słowo, oni prezentują postawę heroiczną. Capote za pomocą wypowiedzi autentycznych informuje, że mieli trudne dzieciństwo i trudności z emocjonalnym odróżnianiem dobra od zła. Niestety, przez to, że znowu stosując inną relację, podaje w wątpliwość ich normalność, od razu umieszcza sprawę na peryferiach społecznych.

Istnieje inna powieść, która jest wyzwaniem rzuconym powszechnie uznawanym kryteriom moralnym, (a zarazem dowodem zachwiania tych kryteriów), książka o morderstwie „irracjonalnym". Jest to „Obcy" Camusa.

Oczywiście, ze względu na różnice poziomów, trudno przeprowadzać porównania. Dziwne jednak, że po „Obcym" można było w tak płytki sposób zinterpretować sprawę niemożności odróżniania dobra od zła. Mordercy Capote'a mieli trudne dzieciństwo i coś z psychiką nie w porządku. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że prawie wszystkich morderców to dotyczy. Mógłby ktoś powiedzieć, że powieść Capote'a jest dokumentem dobrze znanej z informacji prasowej tragedii amerykańskiej. Ale należy się obawiać, że w samej Ameryce książka ta stanie się podręcznikiem mordercy. Zresztą kto wie, czy niektóre relacje prasowe dotyczące amerykańskich morderstw, nie robią większego wrażenia niż książka Capote'a. A z pewnością bardziej wstrząsające jest krótkie opowiadanie o morderstwie z zimną krwią „Trudno o dobrego człowieka" Flannery O'Connor. Opowiadanie to ma kilkanaście stron, powieść Capote'a — 575. Oparte jest na fikcji, a nie na autentycznych relacjach. A jednak, kiedy jego bohater, Wyrzutek, mówi: „Nie ma się naprawdę z czego cieszyć na tym świecie" — wierzymy mu bardziej, niż bohaterom Capote'a.

Fot. M. W. Svanberg

Półka z książkami

ZBRODNIA NA VIA MERCATORUM

Ta książka może przyprawić recenzenta o niemałą rozterkę. Jest to bowiem książka przerażająca, sceny z tych kart śnić się mogą po nocach, na pewno nie należy dawać jej dzieciom... Ale właśnie! Może to właśnie młodzież winna ją przede wszystkim przeczytać, aby pojąć sens naszej nienawiści i naszej alergii na sprawy dziejące się za Łabą?

Książka jest przerażająca. Choć tytuł mógłby sugerować jakiś przeciętny kryminał — druty kolczaste na obwolucie wyjaśniają, że to rzecz o najokropniejszej zbrodni — o zbrodni ludobójstwa. Krystyna Szwentnerowa kontynuując badania swego męża spisała okupacyjne dzieje zakładu dla nerwowo i psychicznie chorych w Kocborowie na Pomorzu. Spisała przerażającą kronikę zbrodni — to właśnie w Kocborowie hitlerowcy wymordowali około 5 tysięcy chorych — w tym także wiele dzieci.

Sprawców zbrodni nie dosięgła sprawiedliwość — nikt nie poniósł kary, wielu z nich — także lekarzy-morderców — żyje dziś i pracuje spokojnie w Niemieckiej Republice Federalnej. Czy spokojnie? Nie wiem. Wiem tylko, że po przeczytaniu tej kroniki zbrodni trudno jest zasnąć spokojnie. Czy mogą więc spać spokojnie wykonawcy hitlerowskiego planu zagłady pacjentów Kocborowa?

W dwadzieścia lat po wojnie w zakamarkach piwnic kocborowskiego szpitala odnaleziono archiwum z czasów okupacji — jeszcze jeden dowód hitlerowskiego ludobójstwa. To archiwum stanowiło punkt wyjściowy do napisania „Zbrodni na via mercatorum" — książki, która przeraża, ale która właśnie dlatego należało napisać. I jest to książka którą trzeba znać, choć nie czyta się jej łatwo, choć burzy ona nasz spokojny pokojowy sen... Ale trzeba ją znać, aby sprawy Polaków w kontekście sprawy wczorajszych i dzisiejszych Niemiec rozumieć.

J.W.

Krystyna Szwentnerowa „Zbrodnia na via mercatorum" Wyd. Morskie 1968, cena zł 20.

PRZYLĄDEK DOBREJ NADZIEI

WYDAWNICTWO Literackie udostępniło nam głośną powieść wspomnieniową Zygmunta Nowakowskiego pt. „Przylądek Dobrej Nadziei". Nazwisko pisarza dobrze znane jest starszej generacji czytelników, zwłaszcza z jego felietonistyki na łamach reakcyjnego „Ikaca", zaś rodowici krakowianie mogą jeszcze pamiętać Nowakowskiego jako aktora, reżysera i dyrektora teatru Słowackiego. Uzupełniając tę króciutką notę biograficzną winni jesteśmy wyjaśnienia, że autor „Przylądka Dobrej Nadziei" zmarł nie tak dawno w zapomnieniu na emigracji w Anglii.

Chociaż nie darzę sympatią felietonistyki Nowakowskiego, z prawdziwą przyjemnością przeczytałem jego prozę, tym bardziej że „Przylądek Dobrej Nadziei" należy do tak ulubionego przez czytelników gatunku powieści edukacyjnej, której w Polsce najwyższą rangę artystyczną nadał Wiktor Gomulicki swoimi „Wspomnieniami niebieskiego mundurka".

Narrator, chłopiec ledwie kilkuletni, ze zdeklasowanej rodziny szlacheckiej oprowadza nas po starym cesarsko-królewskim Krakowie. Jest to pełen melancholii i liryki pejzaż miasta a zarazem pejzaż dzieciństwa, w którym równorzędne miejsca zajmują ołowiani żołnierze, panny służące, Żydzi i nowe, świecące szyny elektrycznego tramwaju.

Jest to właściwie książka, która nie da się streścić, jak daremnym zabiegiem byłoby streszczanie wiersza. Miejscami zresztą mamy do czynienia z par excellence prozą poetycką, co uczyniłoby podobną próbę zupełnie bez użyteczną. A jednak Nowakowski potrafił kapitalnie narysować życie zubożałej rodziny, celnie oddać atmosferę szkoły, a co ważniejsze zrealizował w swojej prozie głęboki portret psychologiczny dziecka.

K.F.

Zygmunt Nowakowski: „Przylądek Dobrej Nadziei", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1968, str. 281, cena zł 15.

DAWNA POLSKA W ANEGDOCIE

Z prawdziwym zadowoleniem należy powitać inicjatywę Wiedzy Powszechnej, nakładem której ukazało się po raz drugi wydanie „Dawna Polska w anegdocie" pod redakcją Marii i Władysława Tomkiewiczów. Gwoli ścisłości trzeba przypomnieć, że pierwsze ukazało się w roku 1961 i dość szybko zniknęło z półek księgarskich.

Zbiór anegdot obejmuje czasy od wczesnego średniowiecza po epokę Oświecenia włącznie. Zbiór ten „... jest antologia naszej anegdoty historycznej" — piszą Tomkiewiczowie we wstępie. Czytelnik wśród setek krótkich powiastek, facecji, figlików, żartów i śmieszków odnajdzie, obok zwykłych szubrawców, durni i obłudników, wiele postaci historycznych.

„Dawna Polska w anegdocie" jest książką, po którą chętnie sięgnie każdy, bowiem jej prosty język (zasługa autorów zbiorku, którzy dokonali żmudnej pracy, przystosowując starą polszczyznę do języka współczesnego) kondensacja dykteryjek oraz chronologiczne potraktowanie tematu, umożliwiają swobodne przechodzenie z epoki w epokę. Jednakże czytanie anegdot kryje w sobie pewne niebezpieczeństwo: dłuższe obcowanie z nimi wywołuje uczucie przesytu, a w końcu znużenia. Toteż autorzy zbiorku zalecają wstrzemięźliwość przy lekturze i nakłaniają do zachowania umiaru w dawkowaniu facecji.

Omawiając zbiór anegdot nie sposób pominąć Adama Kiliana, który dokonał opracowania graficznego. Jego stylizowane na sposób średniowieczny ilustracje i przerywniki podnoszą wartość edytorską tej ciekawej książki.

E. I.

Dawna Polska w anegdocie. Wiedza Powszechna, 1968 r. Str. 316. Cena 30 zł.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chociaż z wielką niechęcią, bo to i deszcze zimne zacinały, wiatry wiały i fronty niżowe co chwilę się przetaczały, pojechałem jednak do Krakowa.

A tam, już przy pierwszym wózku zaraz bajgle, aby wzmocnić nadszarpnięte siły; — i dalej Plantami w poszukiwaniu tych przesławnych obiektów, o których niektórzy w Łodzi pieją z zachwytu.

Minąłem Uniwersytet Jagielloński, gdzie w rogu przy ulicy Wiślnej krakowiacy zwykle wystawiają swoje „obiekty wolno stojące" — ale ani dudu!

Nawet te zeszłoroczne usunięto i nikt nie wiedział, gdzie co się znajduje. Dopiero babka od bajgli poradziła mi, abym poszedł ulicą Smoleńsk na Aleje Mickiewicza, to może coś znajdę. Poszedłem więc we wskazanym kierunku i tu dowiedziałem się od młodych ludzi w dżinsach, że jeżeli chcę, to i owszem, niech się tylko pofatyguję pod Kolegium Rolnicze — to coś tam pewnie znajdę.

I istotnie. Na łączce przed uczelnią pasły się betonowe owieczki, czy wielbłądy, czy lamy, czy też inne stworzenia baranopodobne. Ale owieczki te były bardzo współczesne, to znaczy nie bardzo podobne do siebie; — niejako aluzyjne — skrótowe — czy kamienno impresyjne.

Niewiele tych kamieni na żelaznych nóżkach było — i mocno się rozczarowałem. Że tę parę zwierzątek zdobyło taką sławę w Łodzi!

Zawiedziony pytałem dalej i poradzono mi abym poszedł jeszcze kawałeczek w stronę Akademii Górniczo-Hutniczej, za którą znajduje się Park Krakowski. — I tam zobaczę więcej.

Poszedłem — i rzeczywiście; wśród pięknych drzew, w zieleni, na soczystej murawie stały gdzieniegdzie na dziwnych postumentach (w panterkowate niemieckie wzory) dalsze „obiekty wolno stojące".

A więc coś w rodzaju Światowidów, tylko drewnianych — nie bardzo czytelnych, jakiś kamienny krąg z kręgosłupa wieloryba (podobny jest w naszym Muzeum Przyrodniczym, tylko autentyczny), jakaś kompozycja z wydłubanych pni; abstrakcyjna oczywiście, przypominająca jednak coś jak człowieka i kawałek kobiecego torsu z kamienia, gdzie zaznaczano tylko z lekka piersi i brzuch. To było wszystko w tym parku; — i nic by się nie stało złego, gdyby tego w ogóle nie było.

Być może, że jeszcze inne rzeźby wolno stojące znajdują się w Krakowie — ale nie mogłem się więcej już o tym dowiedzieć. Za to przykuł moją uwagę owalny, wybetonowany staw z betonową wyspą w środku, na której rosła piękna iwa i znowu stała dziwna, jak z kory zrobiona, nazwijmy ją rzeźba — na cienkiej żelaznej nóżce. Całe betonowe dno płytkiego stawku wymalowano olejną czy inną wodoodporną farbą na jasnozielony, jaskrawy kolor; — na wysokość jakichś 30 centymetrów nad lustrem wody.

To był szczyt! Cudo, można powiedzieć!

Woda było zieleniutka, jakby do niej wsypano jaskrawej farbki. Podziwiałem ten pomysł; podziwiałem tych, co to zrobili czy zaprojektowali — za uintensywnianie i poprawianie naturalnych kolorów, aby było ślicznie. Nawet sobie siadłem na ławce i przyglądałem się tym kolorkom, świeżutkim prosto z igły.

Potem wróciłem znowu na Planty do Drobnerówki, gdzie urządzono piękny pawilon wystawienniczy. I tu miałem szczęście, albo nieszczęście, jak kto woli. Bo trafiłem na ostatnie dni II Międzynarodowego Biennale Grafiki.

Trzeba przyznać — Panie Redaktorze — że krakowiacy potrafią takie rzeczy robić; mają w tym kierunku inicjatywę, że ha!

To nie łodzianie, z których każdy co zdolniejszy zamyka się szczelnie w swojej kapliczce, — ledwie koniec nosa mu widać, najwyżej na małą szpalte miejscowej gazety.

Z zewnątrz na budynku mnóstwo białych nietoperzy — tak nietoperzy! — bo te trójkątne kawałki białego płótna rozpięte na drutach, usytuowane płaszczyznami kontrastowo wobec siebie czyniły wrażenie stada białych, fruwających nietoperzy.

To było dobre.

A w środku pawilonu?

W środku chaos!

Niech Pan sobie wyobrazi olbrzymie, kolorowe grafiki, wielkie jak plakaty, agresywne i pretensjonalne bijące w mordę (jak to się mówi).

Całe kłębowisko form, które mają zaintrygować widza.

W sumie nagromadzenie setek różnie wrzaskliwych i aktywnych plam, zygzaków, kół i przeróżnych form upodabniały całość do jakiegoś oszalałego kołowrotu. Z trudem w tym bałaganie można było znaleźć kartki z nazwą państw.

Wiele z tych grafik było bardzo podle wykonanych technicznie, tandetnych litografii, różnych papierowych wyciskanek, złoceń, sposobów bijących się o pierwsze między sobą. Te przede wszystkim nadawały ton całej wystawie. Z pewnością były wśród nich niezłe, a może nawet i dobre — ale uderzenie tej wszechobecnej natarczywej kakofonii było tak piorunujące, że powalało z miejsca człowieka jak knock-out. Że nie można było rozróżnić w tym bałaganie nic prócz nieartykułowanego ryku. Od kolorów, linii i plam oczy mi wyszły na wierzch i mózg zesztywniał tak, że już ani w te, ani we wte nie mogłem patrzeć i przestałem cokolwiek rozróżniać.

Aby jakoś oprzytomnieć zacząłem się przyglądać ludziom, których tu było sporo. No bo jakże! — przecież to Międzynarodowe Biennale! Ale wszystkie twarze były zmęczone, znudzone na śmierć; ludzie snuli się raczej ze snobistycznego obowiązku, niż z prawdziwej potrzeby.

Pewnie Pan myśli — Redaktorze — że jestem stary weredyk i dlatego tak mi się nie podoba ten cały bienal. Ale daję Panu słowo, że nic nie przesadzam.

Potem z obowiązku raczej już niż z ciekawości zaniosło mnie do pobliskiego Pałacu Sztuki, gdzie między innymi wystawiali Polacy, Japończycy i parę innych nacji.

Zgnębiony tą międzynarodową imprezą powlokłem się do Krzysztoporów. A tu masz ci los! Nowy kłopot! Wystawa dwóch laureatów z poprzedniego Biennale (tym razem zanotowałem nazwiska aby nie zapomnieć) panów: Homes Postmy (Holandia) i Kuni Sugai (Japonia). To byli laureaci I Międzynarodowego Biennale Grafiki w Krakowie Roku Pańskiego 1966.

I przyznam się Panu, Redaktorze, że ogarnęło mnie zdziwienie; — bo przecież pamiętam, jak nasze pisma kulturalne reprodukowały te prace i rozpisywały się na ich temat.

Gdzie się podziała sugestia, z jaką wówczas krytycy przekonywali czytelników o nadzwyczajności tych dzieł? Przyjrzałem się trochę dłużej tym tak przed dwu laty sławnym pracom; jaką wartość może posiadać dzieło, jeżeli dwa lata wystarczy, aby spadło z piedestału i stało się nudną mazaniną nie mówiącą nic człowiekowi?

A przecież w swoim czasie staczano o te sprawy boje!

Zaiste! Czas jest okrutny; czas jest również błogosławieństwem. Czas jest nieubłagany; to co ma wartość wydobędzie na jaw mimo sprzeciwu krytyków; pogrąży w nicość mimo starań krytyków. Nie oglądałem zbyt uważnie innych kątów piwnicy, bo tam straszyło. Zeszłoroczne makabreski z „Kurki wodnej" — jakaś zamorusana wanna, połamane w niej taborety, przerażająca figura woskowa ubrana w letni płaszcz, zdarta skóra ludzka (na szczęście z plastyku czy innego tworzywa) wisząca na ścianie i jakieś nie do odcyfrowania figlasy zmajstrowane z kawałków szyby i pospajane gipsem. Wyleziem z tego jak z brudnej kąpieli na świeże powietrze.

No i uległem wreszcie swojej słabości — schroniłem się w Muzeum Narodowym mieszczącym się w domu Szołayskich aby pobyć trochę wśród obrazów XIV i XV-wiecznych.

W pustych salach ani żywej duszy — tylko stróż pilnujący obrazów i rzeźb, i sprzedawczyni biletów. Siadłem sobie w kąciku, wśród gotyckiego malarstwa, lśniącego jak drogocenne klejnoty na ścianach. I tu dopiero, po dwu godzinach ciszy w głowie mi odtajało.

Od starych mistrzów można nauczyć się wielkiej sztuki. Dawniej nie było artystów ani autorów. — Byli dobrzy rzemieślnicy; pozostały po nich arcydzieła, które nazywamy wielką sztuką. Dzisiaj, w drugiej połowie XX wieku mamy samych wielkich artystów i autorów przede wszystkim — ale niestety, o dziełach coraz trudniej, a o arcydziełach nie ma mowy.

Łączę wyrazy szacunku

WACŁAW KONDEK

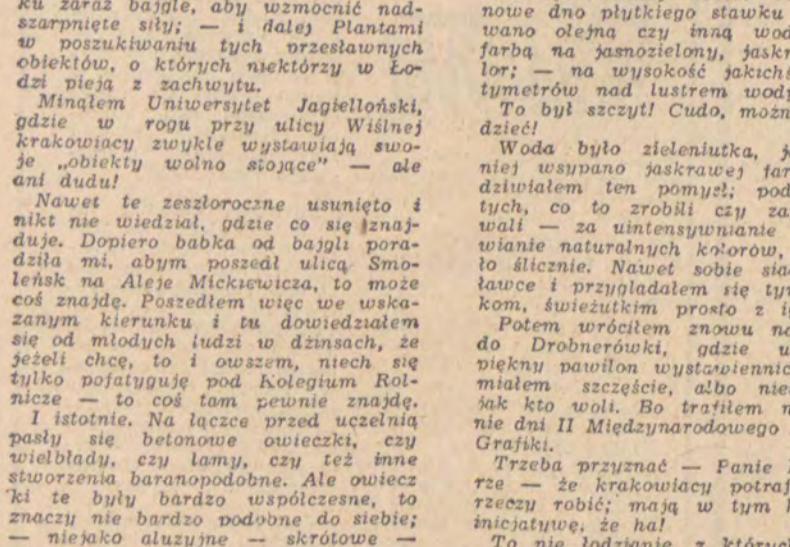

„Rzeźby" na łączce przed Kolegium Rolniczym przy ul. Mickiewicza.

Rys. W. Kondek

TV OBIEKTYW

„SKALPEL TELEWIZYJNY"

Pisałem już, że V Telewizyjny Festiwal Teatrów Dramatycznych może zaimponować zasięgiem, rozmachem i poziomem artystycznym. Nie sądzę jednak, by tej ze wszech miar godnej poparcia imprezie służyły same pochwały. Ambitny wysiłek wielu zespołów aktorskich z różnych ośrodków kraju wymaga szacunku, a co za tym idzie rzeczowej analizy osiągnięć i błędów, a nie tylko mdłych panegiryków.

Myśli te nasunęły mi się podczas oglądania „Oceanu" Aleksandra Sztejna w wykonaniu teatru z Bydgoszczy, w reżyserii Zygmunta Wojdana. Spektakl ten otrzymał telewizyjną oprawę w Ośrodku Gdańskim TV.

Wiadomą jest rzeczą, że przedstawienia nadawane w ramach TFTD nie są przygotowywane z myślą o telewizji. Są to po prostu spektakle wybrane z repertuaru bieżącego poszczególnych teatrów, zaledwie w pewnej mierze przystosowane do potrzeb transmisji telewizyjnej. Z roku na rok to przystosowanie spektakli teatralnych dla małego ekranu pogłębia się. Realizatorzy telewizyjni wraz z reżyserami teatralnymi szukają klucza, który pozwoliłby przekazywać przedstawienia w sposób możliwie najbardziej telewizyjny.

Cóż to znaczy? Jak to przełożyć na język praktyki? Aby odpowiedzieć na te pytania, należy zastanowić się przez moment nad odrębnością zjawiska artystycznego, jakim jest przedstawienie teatralne i przedstawienie teatru telewizyjnego. W teatrze widz ogarnia wzrokiem całość sytuacji scenicznej. Może wodzić spojrzeniem według własnego uznania po twarzach aktorów, po szczegółach ich ubioru, po elementach dekoracji.

W telewizji ta swoboda wyboru zostaje widzowi odjęta. Przejmuje ją reżyser telewizyjny. On decyduje, jaki fragment sytuacji scenicznej będzie w danym momencie oglądany przez telewidzów. Realizuje to, kierując ruchem kamer, najazdami i odjazdami, tzw. cięciami, czyli gwałtownym przejściem z obrazu objętego obiektywem jednej kamery, jak również przenikaniem, czyli łagodnym przechodzeniem z obrazu na obraz, przy którym obraz jednej kamery powoli wygasa, a w to miejsce wyrasta stopniowo inny.

Oczywiście, arsenał środków telewizyjnych jest bogatszy, dla uproszczenia wymieniam tylko najważniejsze. Uważny i doświadczony telewidz umie sam te różnorakie środki rozpoznać, wie jak duże znaczenie ma zbliżenie twarzy aktora aż do wielkiego portretu, wie również, że często w takiej sytuacji pokazuje się nie aktora wypowiadającego aktualnie tekst, ale innego, który słucha i na którego twarzy odbija się wzruszenie, gniew, czy inne uczucie wywołane słowami partnera.

Można więc powiedzieć, że przedstawienie teatralne przygotowane dla sceny zostaje podczas adaptowania go dla telewizji pokawałkowane, podzielone jak gdyby na pola szachownicy, z których niektóre tylko trafią na ekran. Zasadnicza struktura spektaklu zostaje więc zgruchotana i zastąpiona nowym układem, nowymi związkami logicznymi, układającymi poszczególne obrazy w płynną sekwencję.

Nie umiałbym powiedzieć, czy w tej wiwisekcji dokonywanej na żywej tkance dzieła teatralnego nie ma elementów niszczycielskich. Ale z pewnością jest to jedyna droga przystosowania spektaklu scenicznego do formy emisji studyjnej. Należy więc taktowi i wrażliwości realizatorów TV pozostawić zakres dopuszczalnej ingerencji. Zbyt swobodne operowanie telewizyjnym „skalpelem" może zniweczyć wysiłek reżysera teatralnego i aktorów. Jednak równocześnie zbyt mała ingerencja może zatrzeć czytelność utworu.

Moim zdaniem w wypadku „Oceanu" Sztejna realizatorzy TV popełnili ten drugi grzech. Nie postarali się o znalezienie właściwego klucza telewizyjnego dla czytelnego przekazania treści spektaklu. Sztuka Sztejna zbudowana jest na zasadzie retrospekcji. Teraźniejszość, na którą niby na nić nanizane są wspomnienia dwóch protagonistów — komandora Płatonowa i porucznika — radiotelegrafisty Czasownikowa, to mostek kapitański statku radzieckiego podczas dalekomorskiego rejsu w obliczu nadciągającego cyklonu.

Retrospekcje są dwojakie. Jedne sięgają głębiej w przeszłość, ukazują moment, w którym bohaterowie sztuki uzyskują szlify oficerskie i wkraczają w samodzielne życie. A więc rodzaj prehistorii konfliktu. Drugie dotyczą wydarzeń sprzed niewielu tygodni, czy miesięcy, kiedy zarówno Płatonow, jak i Czasownikow podani zostali przez życie ciężkiej próbie.

Tak więc mamy w sztuce Sztejna do czynienia z trzema warstwami czasu. Nie wiem dokładnie, jak przejścia w różne plany czasowe rozegrano na scenie w Bydgoszczy. Sądząc z pochlebnych krytyk, znaleziono dla tych przejść właściwy klucz sceniczny. W adaptacji telewizyjnej rzecz została całkowicie chybiona. Nie dopatrzyłem się żadnej koncepcji uczytelnienia tych wędrówek myślowych po minionym czasie. I to bardzo obniżyło walor spektaklu w telewizji.

A szkoda! Czuło się bowiem ambicję zespołu ulana ze szlachetnego kruszcu. Myślę, że poważna część tego ambitnego wysiłku ugrzęzła w sieci nieudolnej realizacji telewizyjnej.

I jeszcze jedna uwaga, może mniejszego kalibru. Na planszach końcowych ukazały się nazwiska wykonawców w porządku podyktowanym przez płeć i przez alfabet. Nie podano natomiast, jaką kto grał rolę. Aktorzy bydgoscy nie są na tyle znani, byśmy ich mogli rozpoznać. Chciałoby się bardzo wyróżnić wykonawcę roli Płatonowa, cóż, kiedy nazwisko aktora pozostało dla nas niewiadomą!

Tak więc skalpel telewizyjny okazał się w wypadku „Oceanu" Sztejna dosyć stępiony.

Władysław Orłowski

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Przez książki Julesa Verne'a każde dziecko, jak przez odrę przejść musi. Czar dalekich podróży, urok przygód, żywa akcja i śmiała twórcza fantazja mocno działają na dziecięcą wyobraźnię. I to jaka fantazja! — w epoce dyliżansów i statków żaglowych pisarz każe swym bohaterom odbywać podróż dookoła świata w karkołomnym na owe czasy tempie osiemdziesięciu dni!

Kino, którego istota jest ruch, musiało zwrócić uwagę na walory widowiskowe beletrystyki francuskiego wizjonera, toteż książki Verne'a stanowią wiecznie atrakcyjny towar kina odkąd ono istnieje. Ekranizacje Verne'a zapoczątkował w 1902 r. Meliès pierwszy mag ekranu, realizując swój przebój pt. „Podróż na Księżyc". W ciągu 70 lat niemal wszystkie pozycje bogatego dorobku pisarza doczekały się filmowych adaptacji: „W osiemdziesiąt dni dookoła świata", „Dzieci kapitana Granta", „Tajemnicza wyspa", „Pięć tygodni w balonie", „Wyprawa na Księżyc", posłużyły realizatorom filmowym za pretekst do stworzenia filmowych bestsellerów. Dopiero jednak indywidualność Karela Zemana zapewniła pisarzowi znakomitego interpretatora. Zeman jest twórcą inspirowanych przez książki Verne'a filmów dla młodzieży — „Diabelski wynalazek", „Skradziony balon", w tej chwili reżyser pracuje nad następnym utworem, którego motywy treściowe zaczerpnął z powieści francuskiego fantasty — „Arką pana Servadac".

„SKRADZIONY BALON", to znakomita i oryginalna propozycja repertuarowa dla młodych i nieco starszych widzów. Przewiduje, że będzie to sukces frekwencyjny kanikuły 68. Zeman inspirowany wątkami tematycznymi „Dwóch lat wakacji", „Tajemniczej wyspy", traktując je z urocza nonszalancja a jednak zobowiązująco stworzył nowy typ współczesnej filmowej baśni dla młodzieży. Film jest niejako dwuwymiarowy — nieskomplikowana anegdota tradycyjny często slap-stickowy rodzaj humoru z pewnością nie przekroczą możliwości intelektualnych dwunastolatka. Lecz pozostają jeszcze wartości bardziej wysublimowane: dowcipny dystans człowieka współczesnego zauroczonego opowiastkami sprzed stu lat, w pełni świadomego ich naiwności i pewnego prymitywizmu oraz wirtuozowskie operowanie tworzywem plastycznym. Te wartości predysponują film jako rodzaj wprawki dla prawidłowego percypowania przez młodzież trudnych współczesnych dzieł filmowych.

Nader interesująca jest w tym filmie wspomniana już oprawa plastyczna. Scenografia zrealizowana została w konwencji stylowych koperszytchów, ilustrujących niegdyś pierwsze wydanie książek Verne'a. Odpowiada im nastrojem gama barw — od brunatnej, jak za okresu pierwszych dagerotypów bywało, poprzez ugrową, stalową do spatynowanej miedzi. Obraz bezkonfliktowo łączy konwencje filmu aktorskiego i animowanego, doskonałe techniczne rozwiązanie tego trudnego problemu przysporzyć winno czeskim realizatorom wiele splendoru. Pozwoliło bowiem zachować filmowi ciągłość stylistyczną — konwencję groteskowej baśni, reprezentująca wysokie walory artystyczne a przeznaczona dla współczesnego wymagającego młodego widza.

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ

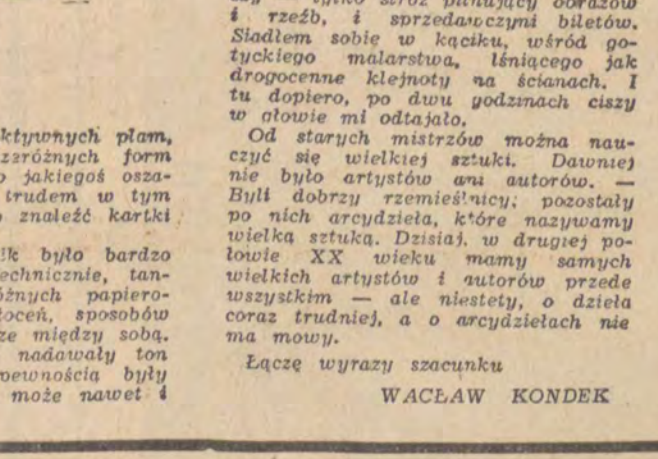

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

JAK ONA GRA, TA SARAH!

■ — Jak ona gra, ta Sarah! — pisał z zachwytem, z Wiednia, do swej narzeczonej, pewien młody lekarz obejrzawszy przedstawienie „Damy Kameliowej" Wielka artystka, Sarah Bernhardt wywarła na lekarzu widać ogromne wrażenie, gdyż w dalszym ciągu listu pisał o jej grze z entuzjazmem. Nie jest wykluczone, że ów młody człowiek, który przybył na studia psychiatryczne do Wiednia, spotkał się z wielką artystką już poza teatrem. Tym lekarzem był Zygmunt Freud, przyszły słynny twórca psychoanalizy.

Ostatnio o wielkiej francuskiej aktorce, która zdobyła światową sławę zwłaszcza dzięki rolom w tragediach, napisała po angielsku, starannie opracowaną książkę Cornelia Otis Skinner, aktorka, autorka wielu prac o teatrze, córka znanego aktora. Monografię tę przetłumaczył na język francuski i uzupełnił kilkoma rozdziałami oraz zaopatrzył we wstęp Philippe Jullian, który sam nosił się z zamiarem napisania książki o Sarah Bernhardt.

W czterech rozdziałach Jullian pisze o wpływie wielkiej aktorki na twórczość pisarzy i artystów, tropi w dziełach Henry Jamesa i Prousta „ślady tej, która była ostatnią miłością Wiktora Hugo", przypomina to co pisał o Sarah Jean Cocteau i co mówiła o niej Colette. Zamieszcza też w książce nie reprodukowany dotąd nigdzie portret aktorki wraz z jej synem, płótno namalowane przez znanego artystę, czeskiego pochodzenia, Muchę.

Niestety do naszych dni zachowały się jedynie wspomnienia o Sarah Bernhardt. Owszem, istnieje film jej poświęcony, a jej głos został nagrany na fonografie, ale ówczesna sztuka filmowa była na tak jeszcze niskim poziomie, że zachowany, prymitywny film nie może dać żadnego pojęcia o mistrzostwie i olbrzymiej skali talentu genialnej aktorki. Również jej wspaniały głos zarejestrowany na prymitywnym fonografie jest wprost nie do słuchania.

RYSOWNIK LUDU

■ Z okazji wystawy w Luwrze dzieł Steinlena „Le Figaro Littéraire" omawia jego twórczość nazywając go rysownikiem ludu. Na wystawie znalazły się portrety, pejzaże, afisze, ilustracje do książek, rysunki zwierząt, koni, psów i kotów, ale najbardziej ulubionymi tematami Steinlena, i tych rysunków jest najwięcej, był zwykły tłum uliczny paryskich przedmieść, dziewczęta wychodzące z pracy i biegnące w deszcz, parki zakochanych, włóczędzy, śpiewacy uliczni. Steinlen rysował ze specjalnym upodobaniem obrazki z codziennego życia, przeróżne scenki uliczne, jakie nazywamy dziś rodzajowymi. Malował znacznie rzadziej, nie używając wielu kolorów.

Steinlen — „Uliczni śpiewacy".

Urodził się w Lozannie w 1855 r. Dość młodo przybył do Paryża, gdzie zamieszkał na Montmartrze. Zarabiał początkowo rysowaniem ilustracji dla paryskich dzienników i pracy tej nie zarzucił już nigdy. Krytycy podkreślają świeżość jego spojrzenia, ekspresję dzieł i fakt, że w swych modelach potrafił przede wszystkim ujrzeć to co było w nich głęboko ludzkie i wzruszające.

SALIM HALALI — ARABSKI PIEŚNIARZ

■ O słynnym arabskim pieśniarzu Salim Halali czytamy w paryskim dzienniku „Le Figaro". Salim Halali nie jest jeszcze w Europie znany, w krajach arabskich zaś cieszy się niesłychaną popularnością. W Maroku, Egipcie, Libanie ludzie tłoczą się na jego występy bijąc się niejednokrotnie o miejsce na widowni. Wielbiciele pieśniarza przebywają nieraz setki kilometrów, na wielbłądach byle tylko usłyszeć jak śpiewa Salim Halali.

Podczas występu akompaniuje sobie na instrumencie zwanym darboka, który jest rodzajem bębenka o kształcie odwróconej wazy. Kiedy pieśniarz pojawia się na estradzie przez dziesięć minut zachowuje kompletne milczenie fascynując widzów swym wzrokiem, po czym gdy napięcie oczekiwania osiąga punkt szczytowy, Halim Salali uderza silnie dłońmi o kolana i wydaje głośny okrzyk „aje" i wtedy zaczyna swój recital.

KONCERT W STODOLE

■ „Wyniesiono ze stodoły siano: wielki Richter będzie koncertował" — pod takim to tytułem tygodnik „Paris-Match" zamieszcza obszerną notatkę o koncercie radzieckiego pianisty Światosława Teofilowicza Richtera w Meslay, miejscowości odległej o dziewięć kilometrów od Tours.

Meslay to przepiękna miejscowość gdzie zachowały się historyczne budowle, ślady benedyktyńskiego opactwa: rzymski portal, budynki gospodarcze jak stajnie, obory, a przede wszystkim stodoła wybudowana w 1220 r.

Jak to się stało, że w owej zabytkowej stodole odbył się koncert pianisty o światowej sławie? W roku 1963 Richter dawał serie recitali w Paryżu. Potem wybrał się na zwiedzanie zamków nad Loarą. Zachwycił go tamtejszy pejzaż, kolor nieba, pastelowe barwy krajobrazu. — Chciałbym koncertować w Tours — powiedział i dodał, że najchętniej grałby w jakiejś niezbyt wielkiej, ale znajdującej się w ładnej okolicy sali. Prefekt Tours zaproponował Richterowi występ w Meslay. Pianista zgodził się.

W oczekiwaniu na koncert w 1968 r. Światosław Richter zamieszkał z żoną na fermie w pobliżu wsi Monnaie o pięć kilometrów od Tours.

Światosław Richter

Przywieziono mu fortepian. Przygotowując się do występu pianista pracował po dwanaście godzin na dobę.

A potem kiedy koncert miał się już zacząć okazało się, że trzeba przywieźć dodatkowych czterysta krzeseł.

Na taborecie obitym skórą zasiadł przy fortepianie 54-letni słynny pianista, człowiek o wzroście olbrzyma, niebieskich oczach, szerokim czole, czarnych włosach i dłoniach, które obejmują trzy oktawy. Światosław Teofilowicz Richter urodził się w 1914 roku w Żytomierzu. Jest pianistą o światowej sławie, wielokrotnie odznaczony w swej ojczyźnie, m. in. Nagroda Leninowska.

A wtedy w stodole w Meslay, tysiąc sześćset osób słuchało w skupieniu utworów Schumanna i Musorgskiego. W siódmym rzędzie krzeseł (gdzie akustyka była najlepsza) siedziała szczupła kobieta około lat czterdziestu bacznie śledząc ruchy rąk pianisty. To żona Richtera Nina Dorlijak, profesor moskiewskiego Konserwatorium, wybitna śpiewaczka.

Gdy Richter grał, do tonów fortepianu mieszał się od czasu do czasu krótki krzyk sówki, stałej mieszkanki stodoły. Richter bowiem nie chciał, aby wyrzucono ptaka, który od pięciu lat obrał sobie za mieszkanie zabytkową stodołę w Meslay.

Światosław Richter. Zdjęcie artystyczne wykonane przez znaną węgierską fotoreporterkę, Edit Molnar.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Budziły zawsze mój podziw szlachetne, bezinteresowne pasje. Gdzieś w tych rejonach mieszczą się nieporadne wiersze spisywane w zeszytach przez ludzi, którzy nie liczą nawet na ich publikację. Krytyk i polonista powiedzą o tym — grafomania i wzrusza pogardliwie ramionami... A jednak podziwiam i szanuję tych ludzi — autorów wierszy, które nigdy nie ujrzą światła gazetowych łamów. Z tej rodziny zapaleńców jest także Jarosław Janowski, który w swym mieszkaniu przy ulicy Nowomiejskiej buduje... samolot. Janowski studiuje podręczniki i dzieła traktujące o konstrukcji — swoją maszynę tworzy w oparciu o solidną wiedzę. Wie także, że przepisy nie dopuszczają niestandardowych samolotów na lotniska PRL, wie chyba także, że obywatel PRL nie może być właścicielem samolotu. A jednak buduje, ożywiony szlachetną pasją. Chociaż nie napisał nigdy wiersza — w swej pasji i zapamiętaniu — jest poetą.

WTOREK

„Leśniczówka czerwona masyw lasu podpala" — pisał poeta. Ta stara leśniczówka w Ojżeniu była rzeczywiście czerwona — tu powstała konspiracyjna Rada Narodowa... obok wioska partyzancka, parę centymetrów dalej leśniczówka w Meszczach, gdzie „Mały Franek" otworzył ogień do żandarmów... Nie, nie pomyliłem się. Właśnie parę centymetrów... Mowa bowiem o makietach jakie znajdą się w Muzeum Czynu Partyzanckiego w Polichnie. Pracują nad nimi łódzcy plastycy A. Klejne, J. Martyka, M. Żywno i J. Stefka, pracują szybko, bo czas otwarcia Muzeum już bliski. We wrześniu nastąpi otwarcie, ale już dziś zatrzymują się samochody na szosie Piotrków — Tomaszów. Betonowy masyw z dramatycznie poszarpaną faktura żelaznych krat wyrasta tuż przy szosie — na mazowieckim piachu, w który dawniej wsiąkała partyzancka krew.

ŚRODA

Jest na Zdrowiu niecodzienna willa, będąca mieszaniną stylów — wyposażona bogato w ozdóbki i sztukaterie. W ogrodzie istne zoologiczne panopticum — pięknie odrobione „jak żywe" zajączki, sarenki, niedźwiedzie. Brak co prawda gipsowych łabędzi — ale i tak rzecz jest taka więcej piękna. Właściciel i twórca jak słyszałem nie lubi, jeśli komuś się jego dzieło nie podoba. Jego prawo, warto jednak poinformować, że willa ta zagra w filmie studentów Szkoły Filmowej. Tytuł filmu „Straszna rzecz, o której każdy marzy" Nie rozmawiałem z realizatorami ale sam tytuł mi mówi, że twórca zajączków i sarenek będzie miał powody do zdenerwowania. Ano, cóż robić. Taki już los artysty — zawsze jednak pozostaje nadzieja, że przynajmniej potomność należycie oceni owe sarenki, zajączki i niedźwiadki...

CZWARTEK

Pisząc kiedyś o wystawie prac uczniów łódzkiego Liceum Sztuk Plastycznych biadałem nad szczupłością fachowej kadry dekoratorów. A przecież — co tu kryć — oblicze miasta kształtowane jest w poważnym stopniu przez handlowe witryny. LSP kształci właśnie dekoratorów — tak określa profil szkoły nowy, realizowany już, program nauczania. Z prawdziwą przyjemnością zatem dowiedziałem się, że podjęto decyzję zwiększenia liczby uczniów tej, jak że potrzebnej, zawodowej szkoły plastycznej. Za lat parę opuszczać będą jej mury nieco liczniejsze szeregi dekoratorów — będą trafiać do placówek handlowych, będą dbać o piękno i estetykę witryn — okien wystawowych miasta. Wtedy nie zdarzy się już chyba przedziwna dekoracja, jaką niedawno widziałem w witrynie pewnej apteki. Napis „22 Lipca" ułożony był z... opakowań pigułek od bólu głowy. Rzeczywiście od takiej dekoracji może rozboleć głowa.

PIĄTEK

Drożyzna coś ostatnio szaleje. Na Czerwonym Rynku zobaczyłem powieść pani Heleny Mniszek pt. „Trędowata" wycenioną przez książkowego przedsiębiorcę na... 500 zł. Ale też był to egzemplarz oryginalny, nie jakiś tam maszynopisowy bryk. Podejrzewam zresztą, że z tą „Trędowatą" na straganie było tak jak w starej anegdocie o domokrążcy. Ktoś litościwy chciał kupić cały towar, aby staruszek się nie męczył, ale handlarz odmówił. „A czym bym handlował?" — zapytał. Zdaje się, że i cena „Trędowatej" skalkulowana była właśnie w tym duchu. Bo dziś straganik z książkami na Czerwonym Rynku nie „Trędowatą" stoi. Wkroczył tu duch czasu i talonu — na straganie znajdują się głównie... podręczniki szkolne. Ich właśnie szukają z wypiekami na twarzy starzy i młodzi — nie jakiejś tam „Trędowatej". Na straganie, gdzie kiedyś królowały niewybredne romansidła — dziś królują szkolne książki. Życie wyeliminowało dzieła pp. Marczyńskiego i Staśko — odchodzą one w zapomnienie — dziś są jedynie reklamową atrapą, na którą coraz trudniej znaleźć nabywcę.

SOBOTA

W pałacyku zabawa — telewizyjny program rozrywkowy tańce, piosenki i „Trubadurzy"... Ale nie o tym chciałem... Gwiazda teleturniejów zabłysła nam na łódzkim nieboskłonie. Pan Serafinowicz jak zawsze pewny siebie, choć niepewny języka polskiego. „Proszę panią z pewną bystrością" — wołał do publiki, lecz na próżno. Jedna pani twierdziła, że Europę od Anglii oddziela Kanał Sueski, inna, że „Starą Baśń" napisał Andersen... „Pan ujmie tą cegłę" — instruował dalej, panowie ujmowali cegły, ale pan Serafinowicz jakoś mnie nie ujął swą kwiecistą mową. Pomysłowość językowa gwiazdy teleturnieju jest dość zaskakująca, ale też na niej inwencja się kończy. Konkursy były raczej rodem z jarmarku w Parzęczewie, aż dziwne, że nie zorganizowano wyścigu w workach lub biegu z jajkiem na łyżce trzymanej w zębach... Nie myślcie żem ponurak... Lubię zabawę, ale z biglem i fajerem, a tego było brak. Ogórkowy program był właśnie jak ogórek — niestety zbyt małosolny.

NIEDZIELA

Wybrać się warto do Muzeum Ziemi Radomszczańskiej... Że co? Że nie ma takiego muzeum? Owszem jest. W prywatnym mieszkaniu Stanisława Sankowskiego — nauczyciela miejscowego liceum i miłośnika tego regionu. Czegóż tu nie ma! Od wykopalisk sprzed 3 tysięcy lat, od przedmiotów kultury łużyckiej i rzymskiej do dokumentów i pamiątek z działalności PPR w latach ostatniej wojny. W tym radomszczańskim silva rerum, są i banknoty z czasów Insurekcji Kościuszkowskiej i kupieckie wagi, kołowrotki i ludowe zapaski, stare sztandary i stare fotografie. Być może fachowy muzealnik powie, iż jest tu wszelkiej materii pomieszanie, ale może w tym właśnie tkwi urok owego niecodziennego zbioru. Wiele by pewno straciły te zebrane pieczołowicie pamiątki, gdyby je usystematyzować w muzealnych gablotach — a tak stanowią niepowtarzalną kolekcję, chętnie oglądaną przez młodzież i dorosłych.

JERZY WIDOK

RAY BRADBURY

Ziemia

Wyczuł to: w tej chwili, teraz właśnie zaszło słońce i wyjrzały gwiazdy — dlatego zatrzymał maszynę do ścinania trawy na środku trawnika. Świeżo skoszona trawa, która opryskała jego ubranie i twarz, powoli wysychała. Tak, a oto i gwiazdy — najpierw ledwie dostrzegalne, coraz jaśniej rozpalają się w czystym pustynnym niebie. Usłyszał jak zamknęły się drzwi — na werandę wyszła żona, patrząc na wieczorne niebo, poczuł na sobie jej uważne spojrzenie.

— Już niedługo — powiedziała.

Skinął głową: nie musiał patrzeć na zegarek. Jego odczucia szybko się zmieniały, a on sam wydawał się sobie to starcem sędziwym, to znów małym chłopcem, gorączka go chwytała albo też chłód przejmujący zaczął mu doskwierać. Nagle przeniósł się na wiele mil od domu. Ale to już nie on, to jego syn wkłada kombinezon lotniczy, sprawdza zapasy żywności, zbiorniki z tlenem, hełm, skafander, maskuje zdawkowymi słowami i szybkimi ruchami głośne bicie serca, znowu i znowu obejmujący go strach — i, jak wszyscy tego wieczoru, odrzuca głowę do tyłu i patrzy w niebo, gdzie jest coraz więcej gwiazd.

Nagle znalazł się na poprzednim miejscu, znowu stał się tylko ojcem swojego syna i znowu jego dłonie ściskają jedynie rękojeść maszyny do koszenia trawy.

— Chodź tutaj, posiedzimy na werandzie — zawołała żona.

— Lepiej popracuję!

Zeszła z ganku i podeszła do niego.

— Nie martw się o Roberta, wszystko będzie dobrze.

— Zbyt niezwykłe jest to dla mnie — usłyszał własny głos. — Nigdy czegoś takiego nie było. Pomyśl tylko — ludzie lecą rakietą budować pierwszą pozaziemską stację. Boże, przecież to jest niemożliwe, niczego takiego nie ma — ani rakiety, ani doświadczalnego ośrodka, czasu odlotu, budowniczych... A może syna, któremu na imię Bob, nigdy nie było. Nie, nie mieści mi się to w głowie!

— No to po co tu stoisz i patrzysz?

Pokiwał tylko głową.

— Wiesz, dzisiaj rano szedłem do pracy. Nagle słyszę — ktoś się śmieje. Stanąłem na środku ulicy, jak wryty. Okazało się, że to ja sam tak się śmiałem!

Żona położyła mu rękę na ramieniu.

— Jeżeli nie chcesz iść na werandę, usiądźmy tutaj.

Wyciągnęli dwa plecione fotele na biegunach i cicho siedzieli i patrzyli jak w ciemności pojawiają się coraz to nowe gwiazdy niby błyszczące ziarna soli rozsypane po całym niebie, od horyzontu do horyzontu.

— Właśnie tak sobie myślę: w tej chwili miliony ludzi patrzą w niebo.

Kiedy tak czekali, wydawało im się, że całym ciałem odczuwają krążenie Ziemi.

— Która godzina?

— Za jedenaście siódma.

— To dziwne, jak ty wyczuwasz czas!

— Teraz nie mogę się mylić. Dokładnie ci powiem, kiedy tym w rakiecie pozostanie tylko jedna sekunda do startu. Popatrz, sygnał! Już tylko dziesięć minut.

W zachodniej części horyzontu spłynęły cztery czerwone ogniste kwiaty; podchwycone przez wiatr, płonęły błyszcząc nad pustynią, bezdźwięcznie opadły w dół i zgasły.

— No bo zrozum, pozaziemska stacja, która kręci się jak planeta i tam na niej będzie mieszkał Bob, może pół roku, może rok, a potem poleci na Księżyc.

Teraz było ciemniej niż przedtem, mąż i żona znieruchomieli w swoich fotelach. Po chwili mąż powiedział:

— Osiem minut.

Milczenie.

— Siedem minut.

Milczenie — ale tym razem wydaje się jak gdyby ciągnęło się trochę dłużej.

— Sześć...

Żona zakołysała się w fotelu na biegunach, badawczo patrzy w niebo na gwiazdy — te co są tuż nad jej głową.

— Po co to wszystko — mówi szeptem i zamyka oczy. — Po co te rakiety i ten wieczór? Po co? Gdyby można było wiedzieć...

On patrzy jej w twarz, blada, jak upudrowaną odblaskiem Drogi Mlecznej. Już chciał odpowiedzieć, ale rozmyślił się — niech sobie żona mówi. A ona:

— Może to tak jak dawniej, kiedy ludzie pytali: po co wspinać się na Ewerest? I odpowiadano im: po to, bo on jest. Nigdy tego nie rozumiałam. Moim zdaniem, to żadna odpowiedź.

Pięć minut, pomyślał. Czas płynie... tyka zegarek na ręku... koło w kole... porusza koło mniejsze... porusza koło większe... wysoko w niebie... cztery minuty! Ludzie już usiedli wygodniej w rakiecie, wszyscy na miejscu swego naznaczenia, płonie pulpit sterowniczy...

Jego wargi drgnęły.

— Wiem tylko, że to — koniec ery początkowej. Epoka kamienna, epoka brązu, żelaza — a teraz tym wszystkim okresom nadamy jedno wspólne imię: czas kiedy chodziliśmy po Ziemi, słuchaliśmy ptaków o świcie i płakaliśmy z zazdrości. Być może nazwiemy ten okres Wiekiem Ziemskim, albo Wiekiem przyciągania ziemskiego. Miliony lat marzyliśmy o tym by pokonać grawitację. Kiedy byliśmy amebami i rybami — próbowaliśmy wyjść z wód oceanów tak, by nas nie rozgniotło własne ciążenie. Znalazłszy się na brzegu staraliśmy się wyprostować — aby siła ciężkości nie złamała naszego nowego wynalazku: kręgosłupa. Uczyliśmy się chodzić nie potykając się i biegać nie padając. Miliony lat przyciąganie trzymało nas w domu, a wiatr, obłoki i motyle śmiały się z nas. Oto co jest dzisiaj najważniejsze — już nie istnieje dla nas przyciąganie ziemskie, wiek grawitacji skończył się. Nie wiem w jaki sposób zacznie się liczenie nowej ery — może od Persów, bo oni kiedyś marzyli o dywanie-samolocie, a może od Chińczyków, którzy podczas święta Nowego Roku wypuszczali do nieba swoje latawce; a może to liczenie zacznie się już za godzinę, nie wiadomo o której minucie czy sekundzie. Ale to właśnie teraz kończy się era długotrwałych i trudnych usiłowań, miliony lat — ciągnęły się one nam w trudną nieskończoność, i jak by to nie było, oddają nam teraz to co słusznie się nam należy.

Trzy minuty... dwie minuty pięćdziesiąt dziewięć sekund... dwie minuty pięćdziesiąt osiem sekund...

— Ale wszystko jedno, w dalszym ciągu nie mam pojęcia po co to...

Dwie minuty, pomyślał. „Gotowi? Gotowi? Gotowi?" — woła przez radio daleki głos. „Gotowi! Gotowi! Gotowi!" — słychać ledwie dosłyszalną odpowiedź poprzez szum huczącej rakiety. „Próba! Próba! Próba!"

Dzisiaj! — pomyślał. Jeżeli nie uda się z tym statkiem kosmicznym, wtedy poślemy drugi, trzeci. Dotrzemy do wszystkich planet, a potem do gwiazd. Nie zatrzymamy się, póki — zbyt patetyczne to słowa — nieśmiertelność i wieczność nie nabiorą sensu. Kontynuacja. Ciągłość. Oto co nam jest potrzebne. Od czasu gdy nauczyliśmy się mówić, wciąż tylko o to samo pytamy: w czym tkwi sens życia? Wszystkie inne pytania są bzdurą, gdy nam śmierć stoi za plecami. Ale niech tylko zagospodarujemy dziesięć tysięcy światów, które kręcą się wokół dziesięciu tysięcy nieznanych słońc, a wtedy niepotrzebne będą takie pytania. Człowiek nie będzie znał granic, jak nie zna granic wszechświat. Człowiek będzie wieczny jak wszechświat. Poszczególni ludzie będą umierali, jak umierali zawsze, ale historia nasza wyciągnie się w niewyobrażalną nawet dal przyszłości, będziemy wiedzieli, że żyć będziemy po wsze czasy i wówczas spokój nami zawładnie i pewność, a właśnie to jest odpowiedź na nieustające ludzkie pytanie. Podarowano nam życie, a my powinniśmy szanować i chronić ten dar i przekazywać go potomnym — aż do nieskończoności. I dlatego warto się potrudzić!

Cicho skrzypiały plecione fotele na biegunach z szelestem dotykając trawy.

Jedna minuta.

— Jedna minuta — powiedział głośno.

— Oh! — żona nerwowo chwyciła go za rękę. — Żeby tylko nasz Bob...

— Wszystko będzie dobrze!

— Boże, pomóż im...

Trzydzieści sekund.

— Teraz patrz.

— Piętnaście, dziesięć, pięć...

— Patrz!

Cztery, trzy, dwa, jeden.

— Jest! Jest!

Krzyknęli oboje. Zerwali się z foteli, które przewróciły się na ziemię. Chwiejąc się, nie widząc, mąż i żona, jak niewidomi, zaczęli szukać czegoś rękoma w powietrzu, chwycili się za ręce, ścisnęli palce. W niebie rozpalała się zorza, jeszcze dziesięć sekund i wypłynęła wielka jasna, ogromna kometa, zaćmiła sobą gwiazdy, wykreśliła ognisty ślad i zagubiła się wśród odurzających usypisk Drogi Mlecznej. Mąż i żona objęli się tak, jakby pod ich nogami otworzyła się ogromna, czarna, bezdenna przepaść. Patrzyli w górę i płakali i słyszeli tylko własny szloch. Minęło wiele czasu póki wreszcie byli w stanie przemówić do siebie.

— Poleciała, poleciała już, prawda?

— Tak...

— I wszystko się skończyło szczęśliwie, prawda?

— Tak... tak...

— Przecież ona nie spadła?

— Nie, oczywiście, że nie. Jest cała, i Bob jest cały...

Wreszcie rozłączyli ręce.

Przesunął dłonią po twarzy i popatrzył na swoje mokre palce.

— A niech to wszyscy diabli — powiedział. — Niech to wszyscy diabli.

Patrzyli jeszcze pięć minut, potem jeszcze dziesięć, póki do ciemnej głębi źrenic i mózgu nie dotarło bolesne, piekące ukłucie miliona ziarenek soli.

— No cóż — powiedziała żona — chodźmy do domu.

Nie ruszył się z miejsca. Tylko ręka sama się wyciągnęła i dotknęła rękojeści maszyny do koszenia trawy. Kiedy zauważył to, powiedział:

— Mam jeszcze trochę pracy z tym trawnikiem...

— Przecież nic nie widać.

— Zobaczę — powiedział — przecież muszę skończyć. A potem, przed snem, posiedzimy trochę na werandzie.

Pomógł żonie odciągnąć na werandę fotele, posadził ją, wrócił na trawnik i znów zabrał się do koszenia. Mógł iść z tyłu za maszyną i wśród szumu i trzasku myśleć o swoim.

Mam milion lat, powiedział do siebie. Urodziłem się minutę temu. Moja długość to cal, nie, dziesięć tysięcy mil. Opuszczam wzrok i nie mogę dojrzeć swoich nóg bo są zbyt daleko w dole.

Szedł z kosiarką po trawniku. Skoszona trawa bryzgała pod ostrzami i sypała się dokoła miękko; wdychał jej świeżość, upijał się nią i czuł — nie tylko jego, ale całą ludzkość omywało ożywcze źródło wiecznej młodości.

I omyty tymi ożywczymi wodami znów przypomniał sobie piosenkę o krążących kołach, o wierze i o miłości bożej tam w niebie, wysoko, wśród milionów nieruchomych gwiazd, dokąd wdarła się jedna — jedyna, zuchwała i leci, i nic już jej nie zatrzyma.

Potem skosił resztę trawy.

Tłumaczył:

ROMAN GORZELSKI

Lewym okiem

NIEDOWŁAD UKŁADU SYMPATYCZNEGO

Przed dwoma laty pisałem o tym, jak znikomo mało uwagi zwracają ośrodki zdrowia i wszelkie instytucje, mające do czynienia z lecznictwem, na wstydliwość ludzką, na delikatność, na oczywiste przecież dążenie do zachowania w sekrecie wielu bardzo intymnych spraw, o jakich tu się rozprawia. Siedząc w poczekalni słyszysz każde słowo zza drzwi lekarskiego gabinetu. W aptece niefrasobliwa pani magister odbierając receptę od szpakowatego pana, woła na cały głos: pani Kaziu, mamy jeszcze Johimbinę?

A nas kilku w kolejce akurat wie, na co się używa Johimbinę i nawet znamy z widzenia szpakowatego pana. Pewnie i panie w kolejce też wiedzą i też może znają. I po co to?

Pewien mój bliski przyjaciel nie skorzystał ze zwolnienia lekarskiego tylko dlatego, że stempel lekarza miał pod nazwiskiem napis jak byk: „Lekarz chorób wenerycznych". Pacjent leczył się na egzemę, ale — powiadał — całe biuro się zna jak łyse konie, personalny nie personalny, wystarczy jeden dowcipuszek i przylepią mi to na stałe. Szlag trafi z takimi stemplami.

Pisałem przed dwoma laty, że do gabinetu zabiegowego wchodzi bez pukania kto chce, a w środku siostra gości zawsze parę zaprzyjaźnionych osób, z którymi gwarzy nie przerywając zastrzyku. Teraz już nawet nie ma w co pukać, bo po prostu drzwi stoją otworem jak szerokie. Do rentgena wpuszczono mnie w momencie, kiedy poprzedniczka nie zdążyła nawet wyczołgać się spod ekranu. Ostatecznie przy mnie modzie niewiele zostało okolic niedostępnych widokowi publicznemu, ale mimo to panienka pod ekranem nazwała mnie bezwstydnym. Dlaczego mnie? To pani w białym fartuchu spieszyła się, żeby szybciej odfajkować.

No i na zakończenie mamy wreszcie instrukcję o systematyce w oznaczaniu chorób. Pisała o tym alarmująco „Polityka", nie zaszkodzi chyba, jeśli napiszemy jeszcze raz. Każda choroba otrzymała symbol cyfrowy. Miała go zresztą już od dawna, trochę tylko trudniejszy do zapamiętania. Ten symbol będzie się powtarzał na wszystkich dokumentach chorego. Wystarczy rzucić okiem na zaświadczenie, receptę, wniosek szpitalny, zwolnienie — potem zajrzeć do instrukcji i już wszyscy będziemy wiedzieć — z pacjentem włącznie — że u pana Z. to nie czyrak, tylko nowotwór złośliwy, że panna K. ma niedowład układu sympatycznego, że wdzięczne lansady prezesa wynikają po prostu z hemoroidów. Wiadomo, że w nowoczesnym społeczeństwie każdy obywatel ma niezliczoną ilość różnych dotyczących go papierków w niezliczonej ilości miejsc. Z całą tajemnicą lekarską będzie tak, jak ze zdradą małżeńską, o której nie wie tylko współmałżonek. Jedynym najmniej poinformowanym o chorobie będzie lekarz, który papierków żadnych nie przechowuje, w teczce nosi tylko słuchawkę i papierosy i za każdym nawrotem pacjenta puszcza go w ruch kołowy po wszystkich analizach, opadach, ciśnieniach, ważeniach, mierzeniach i sondach — właśnie po to, żeby wreszcie przypiąć mu właściwy numerek choroby.

Nie chcemy obnosić publicznie naszych dolegliwości, niektóre z nich muszą zostać naszą tajemnicą, a niektóre lepiej, żeby nam samym nie były znane. To są oczywiste sprawy. Choremu kłamie się do końca, kłamie się w tym wypadku w dobrze pojętym interesie delikwenta. Prosimy Szanownych Usprawniaczy o wzgląd na zwyczajną ludzką wstydliwość i na konieczność oszczędzania ludziom zbędnych moralnych katuszy. To ważne. Tajemnica lekarska musi pozostać naprawdę tajemnicą.

CWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2165. VIII. 1968, P-13